

PIOTR
SOWIŃSKI

**NAJNIŻSZY
KRAĞ PIEKŁA**



Księży Młyn
Druk Warszawa 2012

PIOTR
SOWIŃSKI

**NAJNIŻSZY
KRĄG PIEKŁA**

 **KSIĘŻY MŁYN**
Druk 2012, 128 s., 12,90 zł

Redakcja: *Adam Hemer*

Projekt okładki: *Wojciech Miatkowski*

Skład: *Tomasz Kuc*

Opracowanie e-wydania:

© Copyright by Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2019

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-507-6

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 342519
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms),
gg 414 79 54

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2019

Wydanie 1

Konwersja do wersji elektronicznej
eLjot

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Listopad 1984

Rozdział 1

Kwiecień 1985

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Zakończenie

Październik 1985. Warszawa.

Epilog

Czerwiec 1989. Poznań.

Prolog

Listopad 1984

Pociąg z Krakowa się spóźnił. Ten z Nowego Sącza do Krakowa również był opóźniony. Gdy skład dojeżdżał do dworca Fabrycznego, porucznik Kostecki był wściekle głodny. Kanapki zjadł kilka godzin temu. Wskoczył z wagonu i pobiegł na postój taksówek. Skutkiem ubocznym prowadzonego śledztwa była znakomita kondycja. Tadeusz wyprzedził konkurentów i wskoczył do niebieskiej skody.

- Na Lutomierską - niemal krzyknął.

Taksówkarz zerknął w lusterko i skrzywił się.

- Nie widzi pan napisu „proszę lekko zamykać drzwi”? To nie syrena.

- Komenda na Lutomierskiej - doprecyzował Kostecki z wściekłością.

Taksówkarz natychmiast zmienił minę. Nie odpowiedział, tylko ruszył. Przybytek państwa na ulicy Lutomierskiej od roku nosił oficjalnie nazwę: Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych. Prawie nikt jej nie używał. Funkcjonariusze i obywatele po dawnemu mówili: komenda. Jadąc przez miasto, Tadeusz obserwował sunące w stronę stadionu ŁKS tłumy. Widzew godnie reprezentował polskie piłkarstwo w europejskich pucharach, ale nie posiadał stadionu ze sztucznym oświetleniem. Za każdym razem wynajmowano obiekt lokalnego rywala.

Realny socjalizm odciskał swoje piętno na stadionowej modzie. Braki czerwonej włóczki powodowały, że jedną z barw Widzewa fani zastępowali kolorem pomarańczowym, bordowym, w ekstremalnych przypadkach brązowym. Zamiast bieli używano żółci, czasem écru. Za niewiele ponad godzinę miał się rozpocząć mecz Widzewa z Borussią Moenchengladbach. Bilet porucznika znajdował się w biurku na komendzie. Teoretycznie Kostecki miał być w Łodzi kilka godzin temu. Myślał, że pojedzie do domu, zje, umyje się, odsapnie, a następnie pojedzie na Lutomierską po bilet. Realia PKP miały jednak z rozkładem tyle wspólnego, co socjalistyczna rzeczywistość z teorią socjalizmu. Na szczęście taksówkarz chciał poprawić notowania i jechał sprawnie, najkrótszą drogą. W drzwiach Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych Kostecki pojawił się tuż przed szesnastą. Jak bomba wpadł do pokoju, w którym najczęściej

urzędował. Zdziwił się wielce, widząc pomieszczenie całkowicie wybebeszone ze sprzętów i przygotowane do remontu.

- Gdzie moje biurko? - wyszeptał.

W tym momencie do pokoju wszedł zwierzchnik porucznika, kapitan Banasik.

- Jesteś... Remont tu robią.

- Gdzie moje biurko?

- Chyba w piwnicy. Tam zaniecono większość sprzętów. Dokumenty, rzecz jasna, zabezpieczono w innym miejscu.

Banasik popatrzył na rozstawione drabiny, pożegnał się i ruszył do wyjścia. Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych pustoszał. Pracownicy na etacie MSW zbierali się do domu, wielu wyszło jeszcze przed szesnastą. Zdezorientowany Kostecki zostawił plecak w kącie pokoju. Licząc, że przyjedzie po niego rano. Dobry kwadrans zajęło mu ustalenie, w którym zakamarku piwnic znalazło się jego biurko, z biletem zdeponowanym w szufladzie. Robiło się późno. W budynku zostali już tylko dyżurujący milicjanci. Tadeusz skupiał się na bilecie i meczu, prędko schodził coraz niżej. Na szczęście jego czerwony polonez stał na parkingu przed komendą. Powinien zdążyć. Myśl o meczu tak bardzo zaprzętała głowę Kosteckiego, że nie od razu dotarło do niego, co widzi. Ludzie, których zobaczył, byli tak zaskoczeni przybyciem porucznika, że przez dobrą minutę w pomieszczeniu trwała absolutna cisza. Na biurku Kosteckiego siedział jakiś starszy człowiek. Związany i bity przez trzech milicjantów.

Nieoczekiwane odkrycie Kosteckiego spowodowało, że z urzędu wyszedł dopiero ponad półtorej godziny później. Na zewnątrz smagnął go po twarzy jesienny wiatr, który niósł ze sobą stadionową wrzawę. Kostecki wskoczył do poloneza i ruszył. Nie musiał włączać radia. Odgłosy trybun mówiły mu wyraźnie, kiedy Widzew atakował na bramkę rywali, a kiedy się bronił, kiedy piłka wyszła na aut, a kiedy był bity różny. Słyszał wszystko wyraźnie, mimo zasuniętych szyb. Jechał przez niemal puste ulice. Jednak gdy dotarł w pobliże stadionu ŁKS, na którym toczył się bój, stanął przed nie byle jakim problem - w promieniu pięciuset metrów zajęte były wszystkie miejsca do parkowania. Musiał więc drałować na piechotę kawał drogi. Tymczasem ze stadionu dochodził ryk sztormowych fal. Bałwany były wściekle o falochrony. Fale silnie kołysały Łodzią. Trwała już druga połowa.

Nikt nie sprawdzał Kosteckiemu biletu. Lekko dyszał, gdy stanął na koronie stadionu, a Wraga właśnie wpadł na pole karne. Do piłki dopadł Smolarek i strzałem godnym Deyny wpakował piłkę do bramki. Tadeusza

przykryła fala. Jakiś jegomość spod Łęczycy rzucił mu się na szyję, a inny fan, spod Brzezin, skoczył mu na plecy. Gdy wynurzył się na powierzchnię, ujrzał wzburzone morze ludzkich głów. Na wodzie falowały włóczkowe szaliki, które wyglądały jak czerwono-białe bojki. Na boisku rozpętała się abordażowa walka. Dyszały płuca, łomotały serca, chrzęściły łąkotki, trzeszczały kości. Niemcy rzucili się do desperackich ataków. Widzew kontrował. Pod koniec meczu Smolarek pobiegł do narożnika boiska i zaczął „kraść” sekundy, podobnie jak podczas słynnego meczu z ZSRR. Gdy sędzia zakończył spotkanie, stadionowe morze pieniało się czerwienią i bielą.

Po ostatnim gwizdku arbitra tłum maszerował w stronę bram. Gdzieś tam rozlegały się okrzyki „puchar dla Widzewa!”. Owe pokrzykiwania nie budziły zdziwienia. Nikt nie komentował ich uśmiezkami. Spośród wychodzących ze stadionu nie było chyba nikogo, kto domniemywałby, że przed chwilą skończył się ostatni wspaniały mecz pucharowy wielkiego Widzewa ery Sobolewskiego.

Rozdział 1

Kwiecień 1985

- Więc mówisz, że często musisz sikać.

Kończył się kwiecień i słońce coraz zuchwalej dawało o sobie znać. Doktor Krystian Andrzejewski rzucił okiem na córkę. Byli w zoo. Dziecko ciekawie oglądało słońce.

- Może to prostata? - lekarz wrócił do wątku.

- Mam dopiero trzydzieści pięć lat - zawołał Kostecki.

- U niektórych problemy pojawiają się wcześniej. Zresztą to nie musi być przerost prostaty. Tylko zapalenie. Mówiłeś, że te dolegliwości pojawiły się po zakończeniu tego śledztwa w górach.

- Zaraz po powrocie do Łodzi.

- Spanie zimą w bacówce, w śpiworze z anilany, nie sprzyja zdrowiu.

- Kilka razy spałem w mokrym śpiworze, bo nie mogłem dostać worków foliowych.

- Tym bardziej te noclegi szkodziły. Te marsze w śniegu po pas, o których mówiłeś. Dodaj stres. On zawsze szkodzi.

- Właśnie.

- Poza tym chłasz kawsko jak niemowlak mleko, a alkohol jak spragniony na pustyni wodę. Wszystko wskazuje na to, że przeziębilesz prostatę. Tak mi się wydaje. Ale nie jestem specjalistą, idź do dobrego urologa, zrobi ci badanie. Idź prywatnie, to cię nie oleje.

- Znasz jakiegoś?

- Doktor Nowak. Kościuszki, róg z Zamenhofa. Tam jest przychodnia lekarzy specjalistów.

Podbiegła mała Hania.

- Tatusiu, siusiu!

- Będę się zbierać - Kostecki lekko się speszył.

- Mówię ci, idź jutro lub pojutrze.

- A to badanie? Boli?

- Nic a nic. Bardzo przyjemne, spodoba ci się.

Podali sobie ręce. Doktor wziął Hanię na ręce i ruszył w stronę toalet.

- Sauna - przystanął jeszcze i zawołał na odchodne. - Idź na saunę. To dobrze ci zrobi na te dolegliwości.

Wizytę u urologa Kostecki zamówił na ostatni dzień kwietnia, czyli na wtorek, a w poniedziałek poszedł po raz pierwszy w życiu na saunę. Jedyna sauna w Łodzi mieściła się na basenie Anilany. Była darem od mieszkańców Tampere, miasta partnerskiego z dalekiej Finlandii. Kostecki, odziany w ręcznik, zanurzył się w ogniste opary i nie mógł opędzić się od wrażenia, że wylądował w piekle. Usiadł na dolnej ławce i tępo spoglądał przed siebie.

- Dzień dobry, panie poruczniku.

Kostecki rozejrzał się po saunie, ale oprócz starszego jegomościa nie było innych amatorów gorąca. Głos nie brzmiał znajomo.

- Nie poznaje mnie pan?

- Nie bardzo.

- Stanisław Jodko. Uratował mnie pan. Listopad zeszłego roku, komenda na Lutomierskiej. Teraz pan pamięta?

- To pan?

- Tak, to ja! Odwołałem wszystkie zeznania i pewnie dlatego żyję. Zamiast leżeć na dnie zalewu koło Włocławka. Ma pan do mnie o to pretensje?

- Nie...

- Jestem pana dłużnikiem, za to, że mnie pan wtedy wyratował, ale nie mogłem ryzykować. Mam dwójkę dzieci, wnuki. Córka na początku kwietnia brała ślub. Mówią, że majowe małżeństwa są nieszczęśliwe. Jest pan żonaty?

- Nie.

- Chciałem panu podziękować. Ale podobno rzadko pan bywał w Łodzi.

- Tak. Prowadziłem śledztwo na południu. Potem byłem na zaległym urlopie. Od drugiego maja wracam do służby.

- Tak właśnie słyszałem. Jestem panu bardzo wdzięczny.

- Powie mi pan, co się wtedy wydarzyło?

- Oczywiście. Najpierw musi pan wiedzieć, czym się zajmuję. Należę do tak zwanej prywatnej inicjatywy. Nie zarabiam jednak na kwiatkach, tylko dokonuję rozbiórek starych domów.

- Władze się godzą?

- Nie mają wyboru. Stare budynki grożą zawaleniem, trzeba je rozbierać. Żadne z państwowych przedsiębiorstw nie chce się tym zajmować. Za duże ryzyko. Szczególnie jeżeli chodzi o wyburzenia pojedynczych kamienic w centrum miasta. Robotnicy piją, to grozi poważnym wypadkiem. Nikt nie chce ryzykować. Budowanie domów też jest ryzykowne, ale jednak mniej. Poza tym jak by to wyglądało! Socjalistyczne państwo oddaje budownictwo mieszkaniowe w prywatne ręce. To nie wchodzi w rachubę. Z rozbiórkami jest łatwiej. Nimi nikt się nie interesuje. Chyba że zdarzy się wypadek.

- Można na tym zarobić?

- Inaczej bym się tym nie zajmował. Trzeba się nauczyć z robotnikami. U mnie nie mogą pić. Jeżeli zdarzy się wypadek, to mam przechlapane. Proszę mi wierzyć, to nie jest łatwy kawałek chleba. Miałem kiedyś taką ekipę - pilnowałem ich non stop, a oni i tak byli wypici. Myślałem sobie: „jak oni to robią, pilnują ich cały czas!”.

- Rozwikłał pan zagadkę?

- Oczywiście. To było banalnie proste. Wykuli dziurę do sąsiedniego domu i szli po wódkę na Piotrkowską, a ja pilnowałem ich od strony Kościuszki.

- I co pan zrobił?

- Zatrudniłem innych. Zwolnienie tamtych nie było takie proste. Kupę forsę wydałem, ale w końcu się udało. Sąd pracy nie chciał uwzględnić faktu, że pili w miejscu i w godzinach pracy. Mecenas poradził, bym dał w łapę sędziemu. Co miałem robić? Dałem!

- A ci nowi?

- Oni nie pili. Ale i tak miałem z nimi problemy. Przez które wyładowałem na Lutomińskiej. Niech pan posłucha: rozbieraliśmy starą żydowską kamienicę. Łatwo poznać, że była żydowska. Po pierwsze oni nad drzwiami montowali takie mezuzy, czyli zwoje żydowskich modlitw, a po drugie Żydzi budowali kamienice z najpodlejszych materiałów. Niemcy budowali solidnie. Zawsze! Żydzi prawie zawsze byle jak. Byle było. Chce pan wiedzieć, jak budowali Polacy?

- Polacy budowali w Łodzi jakieś kamienice?

- Oczywiście, że tak! Rzecz jasna musiało minąć trochę czasu, zanim wykształciła się tak zwana polska burżuazja. Czyli przedsiębiorcy i inwestorzy. Wcale nie było ich tak niewielu, zwłaszcza na Górnej i na Bałutach.

- A jak budowali?

- Tego panu nie powiem. Kamienice budowane przez Polaków są stosunkowo młode. Jeszcze ich nie trzeba rozbierać. Dlatego nie mogę panu powiedzieć, czy Polacy budowali lepiej lub gorzej niż Żydzi i Niemcy.

- Sądząc po dzisiejszych realiach...

- No właśnie. Pytanie, czy to, co widzimy na co dzień to polska niechlujność? Czy też socjalistyczna?

- Jak dla mnie to gordyjski węzeł. Polska niechlujność i socjalistyczna tandeta.

- Jest pan młody, poruczniku.

- Wróćmy do pana przygody na Lutomierskiej.

- Niech pan sobie wyobrazi, że w tej żydowskiej kamienicy znaleźliśmy złoto.

- Złoto?

- Tak. Najprawdziwsze. Pewnie ukryli za okupacji, a potem...

- Nikt z chowających nie przeżył.

- Pewnie tak było. Uczciwie się z moimi robotnikami podzieliłem. Na cztery równe części. Ustaliliśmy, że w Łodzi nie będziemy tego sprzedawać. Wie pan, jak to jest. Nie minął dzień, a jeden z robotników zaniósł coś do Desy. Następnego dnia poszedł następny. Trzeciego dnia zostałem zatrzymany na czterdzieści osiem godzin. Jak mnie zamknęli w tej piwnicy i zaczęli łać, to błagałem Boga, by mi pozwolił to znieść. Wiedziałem, że jak wytrzymam, to w końcu będą musieli mnie puścić. Na szczęście wyzwolił mnie pan grubo przed czasem. Trzeciego robotnika tak tłukli, że wszystko im oddał. Wszystko! Dzięki panu zachowałem zdrowie i cały skarb. Jestem pana dłużnikiem.

- Zmuszali pana do zmiany zeznań? Szantażowali?

- Nie musieli. Ja oglądam telewizję. Przekaz z Popiełuszką był bardzo czytelny. Ja go pojąłem bardzo dobrze. Mogą wszystko. Tamci dali dupy, bo tego kierowcę, co był komandosem, posadzili przy drzwiach. Mnie uratował przypadek. Pan zszedł do piwnicy. Dostałem od Boga dar, którego nie dostał Popiełuszko. Drugi raz cud się nie wydarzy. Wolę żyć. Sam odwołałem zeznania, w których opowiadałem, jak mnie lali. Tamtych zwolnili. Wrócili do służby. Tyle że z tego co wiem przenieśli ich do Sieradza. A ja żyję. Wesele córce wyprawilem. Ja chcę żyć, panie poruczniku, a nie walczyć o sprawiedliwość. Ma pan do mnie o to żal?

W odpowiedzi Kostecki uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Gorąco - powiedział.

- Trzeba się schłodzić.

Następnego dnia, w przeddzień majowego święta, Kostecki zameldował się w spółdzielni lekarskiej na rogu Kościuszki i Zamenhofa. Długo klarował o swoich problemach. Lekarz niespecjalnie go słuchał.

- Proszę zdjąć spodnie i opuścić reformy do kolan.

Kostecki posłusznie wykonał polecenia lekarza, który po wykonaniu badania zadał rutynowe pytanie.

- Boli? W skali od zera do dziesięciu. Ile?

Kostecki pomyślał, że przy najbliższej okazji zabije Andrzejewskiego.

Rozdział 2

Gdy Kostecki wyjrzał przez okno, pomyślał, że jeszcze śni. Łódź pokrywał gruby kożuch śniegu. Białe płatki opadały na ulice, samochody, tory tramwajowe, a przerażone tulipany tuliły się do zszokowanych żonkili. Rozpaczliwie szukały ciepła. Tadeusz pomyślał, że pierwszy raz w życiu widzi tyle śniegu w dniu Międzynarodowego Święta Pracy. Chciał jeszcze trochę poleżeć, ale uznał, że przez tę zimową aurę może mieć problem z dotarciem na dworzec. Opuścił więc śniadanie. Zapakował do torby trzy butelki alkoholu, uporał się z grubą warstwą śniegu i odpalił poloneza. Ruszył ostrożnie. Samochód tańczył na nieodśnieżonych ulicach przez całą drogę do dworca Łódź Fabryczna. Kostecki zaparkował i ruszył na peron. Bilet kupił z góry. Do odjazdu pociągu miał jeszcze godzinę. W wagonie był prawie sam. Rozsiadł się wygodnie. Fiaszki troskliwie ułożył na półce. Wyciągnął książkę i zagłębił się w lekturze. Co chwila przerywał czytanie i poprawiał położone na metalowej konstrukcji butelki z alkoholem. Jeszcze przedwczoraj był pewny, że do Warszawy pojedzie w towarzystwie wyborowej. Spotkanie w saunie zaowocowało dwiema butelkami rumu Jamajka, które Tadeusz otrzymał od pana Stanisława. Porucznik pękał z radości. Oczami wyobraźni widział siebie, jak z dumą wręcza trunki przyjacielowi, do którego udawał się w odwiedzinach. Felicjan Jurga był funkcjonariuszem komendy stołecznej. Obaj mieli spędzić majowe święto w Warszawie, a wieczorem obejrzeć mecz z Belgią. Następnego dnia Kostecki musiał zameldować się w pracy po urlopie.

O ósmej nabyty ludźmi pociąg ruszył, a po trzech godzinach skład, dojechawszy do podłódzkiego Gałkówka, zatrzymał się na dobre. Opady śniegu uniemożliwiały dalszą podróż. Przeklinając PKP, śnieg i Bogu ducha winnego towarzysza Jaruzelskiego, Kostecki marzył na peronie z innymi pasażerami. Wszyscy czekali na jakikolwiek pociąg, którym mogliby wrócić do Łodzi. Wreszcie skład nadjechał. Kostecki wbił się do wagonu. W swoim retkińskim mieszkaniu był o godzinie szesnastej. Przygoda z PKP po raz kolejny skłoniła go odkorkowania butelki. Pierwszą setkę wypił w Gałkówku. Gdy na ekranie telewizora dostrzegł jedenastki Belgii i Polski, był już solidnie wypity. Pierwszą bramkę dla czerwonych diabłów przyjął ze

spokojem. Gdy Młynarczyk po raz drugi schylił się po piłkę oblepioną siatką bramki, zaterkotał telefon.

Na ulicy Zelwerowicza kłębił się tłum milicjantów. Niebieskie światła radiowozów oświetlały wille na niewielkiej ulicy położonej w sercu miasta. Kostecki bardzo lubił tę okolicę, położoną w centrum Łodzi, a mimo to cichą i spokojną enklawę. Osiedle willowe było wciśnięte między dwa parki, sąsiedowało z terenem biblioteki uniwersyteckiej oraz innych przybytków UŁ, a wśród willi tkwiły wieżowce. Każdy wiedział, choć nikt nie mówił o tym głośno, że wielu mieszkańców tych bloków wywodziło się z rodzin związanych z MO, PZPR czy PRON.

Tadeusz przybył na miejsce i wszedł do willi, w której byli już kapitan Banasik oraz porucznik Jabłoniak. Kosteckiego zdziwił widok szefa całej łódzkiej milicji Walentego Moczковского, którego po raz pierwszy spotykał na miejscu zbrodni.

- Facet też miał problemy z prostatą - doktor Andrzejewski uśmiechnął się od ucha do ucha.

Kostecki podążył za wzrokiem patologa. Na podłodze leżały zwłoki starszego mężczyzny. Ewenementem był wbity w odbyt denata drewniany penis. Kostecki spojrział na twarze milicjantów. Moczkowski był czerwony jak burak, bił od niego intensywny zapach gorzały. Musiał rozpocząć celebrowanie internacjonalistycznego święta zaraz po pochodzie. Banasik za to przypominał alabaster, Kostecki nigdy nie widział swojego bezpośredniego zwierzchnika w stanie takiego szoku. Jabłoniak, trzydziestolatek z dwójką dzieci wpisaną w dowód, wydawał się najbardziej opanowany. Podszedł do Tadeusza i powiedział:

- Stary kazał cię ściągnąć, mimo że do roboty wracasz formalnie jutro.

- Miałem być w Warszawie...

- Wielu łódzian miało być w Warszawie.

- Kto to jest? - Tadek wymownie spojrział na denata.

- Antoni Babicki. Emerytowany podpułkownik MO. Dawny przyjaciel Banasika, jeszcze z czasów PPR.

- Teraz rozumiem, dlaczego Banasik jest taki błady.

- O wszystkim wie już Kiszczak. Szykuje się gruba sprawa. Ten drewniany chuj...

- Robi wrażenie.

Do Kosteckiego i Jabłoniaka podszedł Andrzejewski, który podobnie jak Tadek i szef łódzkiej MO był już na lekkim gazie.

- Ja bym zaczął od sprawdzenia urologów. Ciekawe, jak oceniał ból w dupie podczas badania? Chyba na dziesięć - buchnął rubasnym śmiechem.

- Kapitalne poczucie humoru, godne Hipokratesa - odparował urażony Tadeusz.

- Ponurak z ciebie, pieszczoszku - lekarz nie przejął się.

- Ten... To badanie prostaty miało miejsce przed...

- Po - dokończył zdanie patolog.

- A czym zabito?

- Młotkiem. Najpierw zabił, potem zajął się odbytem. O szczegółach powiem po sekcji.

Gdy Andrzejewski wrócił do swoich obowiązków, Kostecki zagadnął Jabłoniaka.

- Znałeś tego gościa?

- Nie. Wiem tylko, że od kilku miesięcy jest na emeryturze. W tym domu mieszkał raptem kilka tygodni.

- Ciekawe.

Technicy kończyli swoje działania. Ciało denata zostało okryte i wyniesione przez milicjantów. Tadeusz z ulgą wsiadł do poloneza i ruszył. Liczne choinki, które rosły przed domami, pokrywała biała kołdra śniegu. Kosteckiemu przez moment wydawało się, że widzi Mikołaja z workiem prezentów.

Następnego dnia na Lutomierskiej panował rwetes. Czuć było gęstą atmosferę. Szef urzędu szalał, łąjał i potrącał podwładnych, nikt się nie uśmiechał, a Kostecki, natychmiast po przybyciu do pracy, wylądował w gabinecie Moczковского. Wnętrze wypełniał dym z carmenów, które pułkownik namiętnie palił. W pokoju siedzieli już Banasik i Jabłoniak. Moczkowski miał podkrążone oczy. Nie spał całą noc. Gdy Kostecki zamknął drzwi, dowódca zaczął:

- Nie muszę wam mówić, że zabójstwo wysokiego rangą oficera MO jest objęte absolutnym priorytetem. Wszystko inne schodzi na plan dalszy. Pół nocy rozmawiałem z towarzyszem Kiszczakiem. Mamy dopaść drania za

wszelką cenę. W tej sprawie możemy liczyć na pomoc Warszawy. Daleko idące wsparcie...

Moczkowski urwał. Miał wielką ochotę napić się wódki. Co prawda przed odprawą gołnął całą szklanke, ale weszła w niego jak woda, nic nie czuł. Z niechęcią spojrział na Banasika. Pułkownik szczerze nie cierpiał kapitana. Nie znosił go tak mocno jak głupota nie znosi mądrości, a nikczemność cnoty. Gdyby mógł, dawno by się Banasika pozbył, niestety nie było to takie proste. Kapitan działał w łódzkich strukturach MO od 1945 roku, miał na koncie wiele zawodowych sukcesów i - co przede wszystkim wyróżniało go spośród kolegów po fachu - nie było na niego haków. Żadnych, nawet najmniejszych. Banasik był abstynentem. Nie palił. Nie grał w karty, ani nawet w totolotka. Stanowił rzadki przykład podręcznikowego służbisty. Nie brał łapówek, nie chodził na dziwki, nie kupował mięsa z nielegalnego świniobicia, oszczędności wydawał na książki, które wypełniały jego dwupokojowe mieszkanie, nie miał konfliktów z żoną, która była jego najbliższym i najlojalniejszym przyjacielem i równie dobre relacje miał z jedynym synem, prymusem w elitarnej „Jedynce”, przysparzającym ojcu dumy i radości. Poza tym Banasik miał poparcie wielu organizacji społecznych. Był typem społecznika, pozytywisty. Moczkowski nie bardzo mógł więc sobie pozwolić na wychylenie kieliszka w obecności kapitana. Zmełł zatem w ustach przekleństwo i zapalił kolejnego papierosa. Odsapnął głęboko i powrócił do wątku.

- Podpułkownik Babicki był zasłużonym budowniczym Polski Ludowej. Był wielokrotnie odznaczany i nagradzany. Do 1950 roku służył w Łodzi. Potem umacniał Polskę na ziemiach odzyskanych. Robił karierę w strukturach województwa koszalińskiego. Na emeryturę przeszedł na początku roku. Do Łodzi wrócił raptem kilka tygodni temu. Jego córka urodziła syna, miał jej pomagać. Za oszczędności życia kupił tę starą willę, w której został zabity. Jego córka z rodziną mieszka w bloku koło radia. Kilka minut drogi...

Zapadła cisza. Moczkowski zapalił kolejnego papierosa, Kostecki wyjrzał przez okno. Po śniegu zostały potężne kałuże. Moczkowski skinął na Banasika. Ten natychmiast zaczął zdawać relację:

- To ja znalazłem zwłoki. Byliśmy umówieni na pochód. Jaka była wczoraj pogoda, wszyscy wiemy. Myślałem, że Antoni został w domu przez ten śnieg. Zadzwoiłem do niego po pochodzie, gdy wróciłem do domu. Nie odbierał. Myślałem, że śpi. Po godzinie zadzwoniłem znowu. Potem jeszcze

raz. Wieczorem z żoną postanowiliśmy, że pojedziemy go odwiedzić. Na miejscu byliśmy około dwudziestej trzydzieści. Paliło się światło, ale nikt nie otwierał, mimo że dzwoniiliśmy kilka razy. Furka była otwarta, weszliśmy... Żona jest w szoku. Ja zresztą też.

Znów zapadła cisza. Banasik łyknął herbaty i kontynuował:

- Zналиśmy się jeszcze z czasów okupacji. Walczyliśmy w Gwardii Ludowej. Potem zaczęliśmy służbę w milicji. Po reformie administracyjnej, gdy były różne rotacje w etatach, wyjechał na ziemie odzyskane. W Koszalinie dostał piękne służbowe mieszkanie. Do Łodzi przyjeżdżał rzadko. Nasz kontakt się urwał. Później, gdy jego córka zaczęła w Łodzi studiować, przyjeżdżał częściej. Po studiach wyszła za mąż, za łodzianina. Dostała mieszkanie, urodziła dziecko. Babicki przeszedł na emeryturę. Postanowił wrócić do Łodzi i pomóc córce. Wydawało się, że życie zatoczyło koło.

Tym razem ciszę przerwał Moczkowski.

- Po pierwsze, wątek, nazwijmy to, erotyczny. Przypicie, że profanacja zwłok robi wrażenie. Wszyscy chyba mamy podobne skojarzenia. Pytanie zasadnicze, czy morderca jest pederastą? Drugie pytanie, czy podpułkownik był... No, wiecie, o co mi chodzi. To dla nas kłopotliwe, ale musimy ten wątek bardzo dokładnie sprawdzić.

Moczkowski napił się herbaty. Dopiero teraz pomyślał, że mógł do niej wlać setkę wódki. Wściekły na siebie kontynuował.

- Drugi wątek to zabójstwo na tle politycznym. Po amnestii wyszli z więzień wrogowie ustroju. Wśród nich różni szaleńcy. Tego wątku nie możemy bagatelizować. Do naszej dyspozycji będą, w razie potrzeby, materiały z SB.

- Wątek polityczny połączyłbym z wątkiem historycznym. Skoro podpułkownik zaczynał służbę zaraz po wojnie... - wtrącił się Kostecki.

- Wątpię - odpowiedział Banasik, po czym przełknął herbacianą lurę i rozwinął myśl. - Babicki nie zajmował się podziemiem. Nie prowadził nawet spraw kryminalnych. Położył wielkie zasługi w budowie aparatu milicji, ale mam na myśli sprawy organizacyjne. Zajmował się aprowizacją, organizacją archiwum. Miał na uwadze sprawy socjalne. Świetnie się do tego nadawał. Podczas okupacji też załatwiał szereg spraw technicznych, że się tak wyrażę. Właściwie tylko zaraz po wyzwoleniu zajmował się łapaniem bandziorów.

- Może to zemsta? - powiedział Moczkowski. - Pamiętacie jakies szczególne przypadki?

- Wiele tego mieliśmy, poziom bandytyzmu był wtedy ogromny - Banasik próbował przypomnieć sobie początek służby. - Pierwszą wypłatę dostałem w czerwcu. Pięćset złotych. W fabryce zarabiano się wtedy ponad tysiąc.

- Jakież ciekawe przypadki? - naciskał dowódca. Banasik gorączkowo pocierał czoło.

- Pamiętam, jak wiosną mieliśmy dyżur w szesnastym komisariacie na Chojnach. Grasowała tam banda, która podawała się za żołnierzy radzieckich. Były naciski, by łobuzów trafić. Pamiętam, przebrałem się w cywilne łachy i udawałem pijanego. Przez kilka dni tak się wałęsałem po zakamarkach dzisiejszej Śląskiej, Zapolskiej, Dąbrowskiego. Nagle zauważyłem jakiegoś człowieka. Był przyzwoicie ubrany. Z tyłu zaszedł go taki jeden i przystawił mu pistolet do głowy, w ciągu sekundy zabrał elegantowi portfel i zdjął z grzbietu pelisę. Szedł szybko chodnikiem, na którym się chwiałem. Gdy był blisko mnie, przewróciłem go, a z bramy wyskoczył Babicki i skuł bandziora kajdankami. W drodze na komisariat wrzeszczał, że nas zabije. Z tego co wiem, dostał osiem lat.

- Czyli wyszedł w pięćdziesiątym trzecim - Moczkowski błysnął matematycznym talentem.

- Albo i wcześniej. Była amnestia - dopowiedział Banasik.

- Długo czekał na zemstę - zaśmiał się Kostecki.

Banasik znowu drapał się po czole. Myślni wracał do roku czterdziestego piątego. Wreszcie się odezwał:

- Pamiętam też taką sprawę: wraz z Babickim namierzaliśmy aferzystę z Okręgowego Urzędu Likwidacyjnego. W wielu przedsiębiorstwach opuszczonych przez Niemców były dobre, często nowe maszyny włókiennicze, które miały być przekazane do upaństwowionych zakładów. Pracownicy urzędu, zamiast wypełniać polecenia, sprzedawali maszyny do małych, prywatnych firm. Zaraz po wojnie jeszcze przecież mogły istnieć. Ten proceder wyglądał tak: maszyny w częściach sprzedawano do składnicy złomu. Wprowadzeni w interes prywaciarze kupowali części maszyn za bezcen, a potem odpłacali się swoim dobrodziejom z nawiązką. To była gruba afera. Straty państwa liczono w milionach. Wraz z Babickim dopadliśmy szajkę i wsadziliśmy aferzystów do paki. Może teraz, po latach, ktoś z nich lub z ich krewnych się mści.

Zapadła cisza. Banasik znowu potarł czoło. Powróciły kolejne wspomnienia.

- Któregoś razu patrolowaliśmy ulicę Nowotki. Nagle na skrzyżowaniu ze Sterlinga pojawiła się ciężarówka. Po przejechaniu kilkuset metrów

zatrzymała się. Jacyś osobnicy zaczęli wnosić pakunki. Podeszliśmy z Babickim, po śladach na śniegu dotarliśmy do pomieszczenia, w którym to wszystko chowali. Chyba kilkanaście wieprzków tam było. W kawałkach rzecz jasna. Cały gang poszedł siedzieć. Takich spraw było wtedy multum. Praktycznie każdego dnia łapaliśmy kogoś na gorącym uczynku. O szabrowaniu nie wspomnę. Nagminne przypadki.

- Trochę nie mieści mi się w głowie - rzekł Moczkowski - by jakiś bandzior złapany w czterdziestym piątym na kradzieży wieprzowiny teraz mścił się po czterdziestu latach.

- Tym bardziej że miałby mnie na celowniku. Przecież cały czas byłem w Łodzi - dorzucił Banasik.

Zapadła cisza. Wszyscy zdali sobie sprawę, że wątek zemsty sięgający korzeniami do czasów zaraz po wyzwoleniu wydawał się mało prawdopodobny.

- A w Koszalinie? - zapytał Kostecki.

- Zrobił karierę w drogówce.

- Mało prawdopodobne, że przybył ktoś z Koszalina, by zabić w zemście za mandat sprzed kilkunastu lat - wywodowi Jabłoniaka nie można było odmówić logiki.

- Czyli wątek historyczny raczej wątpliwy - podsumował Kostecki, po czym głos zabrał Moczkowski.

- Jest jeszcze jedna sprawa - szef łódzkiej MO wziął głęboki oddech. - To co teraz powiem jest tyleż ważne, co nieoficjalne. Tego wątku w papierach nie będziemy opisywać, ale będziemy go mieć na uwadze. Mam na to zgodę towarzysza Kiszczaka, a nawet jego zalecenie.

Wszyscy funkcjonariusze z uwagą spojrzeli na dowódcę.

- Towarzysz Kiszczak zwrócił uwagę, że data śmierci, wigilia święta pracy, oraz specyficzne sprofanowanie zwłok mogą mieć symboliczne znaczenie. Te informacje są ściśle poufne. Towarzysz generał sugeruje, że sprawcami lub mocodawcami sprawcy mogą być ludzie związani z resortem. Nie wszystkim się podoba łagodny ton wobec solidarnościowej ekstremy. W MSW są kręgi bardziej radykalne wobec Michników, Kuroniów czy innych Morawieckich. Być może śmierć Popiełuszki też miała jakiś związek z owymi kręgami. To oczywiście hipoteza. Jednak towarzysz Kiszczak traktuje ją bardzo poważnie. My też musimy ją mieć na uwadze. Rozumiecie, że to nie może wyjść poza ten pokój.

Wszyscy poważnie pokiwali głowami.

Rozdział 3

- Jesteś pewien, że śmierć zadał młotkiem? - KostECKI pochylił się nad zwłokami.

- Jestem pewien - odpowiedział Andrzejewski.

- Jeden cios?

- Dwa. Ale jeden by wystarczył. Uderzył z nieprawdopodobną siłą. Na sto procent zabójcą jest mężczyzna. Kobieta nie byłaby w stanie tak mocno uderzyć. Powiedzmy, że szanse na to, że napastnikiem jest kobieta oceniam na dwa, góra trzy procent.

- Ten drewniany chuj...

- Drewniane prącie, przez prostaków z milicji nazywane chujem, zostało wbite w odbyt ofiary po zabójstwie.

- Profanacja czy jakiś symbol?

- Nie wiem. Ten drewniany kutas zniszczył ślady. Jedyne co mogłem stwierdzić, to że przed śmiercią denat nie był penetrowany. Tak to się chyba w środowisku pederastów nazywa. Nie znalazłem śladów nasienia.

- Ale nie możesz określić, czy zamordowany był homoseksualistą?

- Nie mogę.

- Szkoda.

- Domyślałem się, że wiedza o potrzebach erotycznych ofiary bardzo by pomogła w śledztwie.

- Coś jeszcze możesz powiedzieć?

- Niewiele. Został zabity we wtorek wieczorem. Około doby przed znalezieniem. Było wyjątkowo zimno. Nie były włączone kaloryfery. Nieźle by cuchnął, gdyby maj był normalnym majem.

- Ten młotek?

- Standardowy. Dosyć stary. Nie zachowały się żadne informacje o tym, gdzie został wyprodukowany. Być może samoróbka.

- Nie było odcisków palców.

- Zabójca przyszedł, by zabić, a nie żeby wbijać gwoździe. A jak wizyta u urologa?

- Spierdalaj.

Po wizycie w prosektorium Kostecki udał się do milicyjnych techników.

- Coś ciekawego? - zapytał.

Feliks Izdebski podrapał się po łysiejącej głowie i powiedział szybko:

- Nie ma śladów włamania. Okna też całe. Musiał wpuścić zabójcę. Żadnych odcisków palców.

- Dupa - wyrzekł zde gustowany Kostecki. W tym samym czasie Jabłoniak przepytывał sąsiadów. Większość z nich nic nie widziała ani nie słyszała. Wszyscy powtarzali, że zamordowany wprowadził się niedawno. Z grona sąsiadów tylko jeden powiedział coś, co zwróciło uwagę śledczego. Świadek zgłosił się sam. Nie mieszkał bowiem na Zelwerowicza, ale na Solskiego.

- Wyszedłem z psem na spacer - mówił. - Był już zmierzch. Na ulicy pusto. Szedłem sobie, pies biegł przodem. Przed domem zamordowanego stał jakiś człowiek i dzwonił dzwonkiem.

- Mężczyzna?

- Tak. Zaraz wyszedł ten milicjant i podszedł do furtki. Rozmawiali chwilę. Potem milicjant otworzył i tamten wszedł na teren posesji. Tyle widziałem.

- Ten mężczyzna, którego pan widział, był stary, młody?

- Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. Ściemniało się, a ja dłużej nie patrzyłem. Gdyby nie śmierć tego milicjanta, pewnie bym już zapomniał. W końcu to prozaiczna sytuacja, ktoś dzwoni do furtki, a inny mu otwiera.

- Rozumiem.

Następnego dnia siedzieli na Lutomierskiej. Omawianie postępów śledztwa w gabinecie Moczковского było dla kapitana Banasika torturą. Pomieszczenie zawsze śmierdziało dymem z papierosów, które Moczkowski palił non stop. Paprotki ozdabiające wnętrze wyglądały jak dżungla w Wietnamie po pestycydowym ataku Amerykanów.

- Wiemy, że zabójcą jest mężczyzna, którego zamordowany musiał znać - Jabłoniak podsumował dorobek śledczych.

- Pytanie zasadnicze, dlaczego zabójca sprofanował zwłoki w tak specyficzny sposób? - włączył się Tadeusz.

- Dla mnie jest jasne, że zabójcy należy szukać w środowisku pederastów - błyskotliwie rzekł pułkownik.

- Aż ciśnie się na usta pytanie, czy zamordowany też był... - Tadek nie musiał kończyć. Wszyscy obecni spojrzeli na Banasika. Kapitan zrobił się purpurowy na twarzy. Chrząkał i nerwowo pocierał podbródek.

- Nie mam pojęcia - wybąkał.

- Znałście go, obywatelu - podchwycił Jabłoniak.

Normalizacja generała w ciemnych okularach sprawiła, że do łask, na razie nieoficjalnie, wracała forma „pan”. Banasik życzył sobie, by w ten sposób zwracali się do niego podwładni. Tolerował formę „obywatel”. Natomiast od trzech lat nie znosił zwrotu „towarzyszu”. Tę formę musiał tolerować tylko u Moczковского, który nader często z niej korzystał.

- Znałem. Myślicie, że w czasie okupacji nie mieliśmy innych zmartwień, tylko życie intymne towarzyszy walki? Nie rozmawiałem z nim o tym. Nie słyszałem plotek. Chyba najlepiej poinformowana będzie wdowa po podpułkowniku.

- Na razie jest w szoku - powiedział Moczkowski.

- Kto ją przesłucha? - strategiczne pytanie zadał Jabłoniak i otrzymał od razu bezceremonialną odpowiedź:

- Ty.

- W lepszej kondycji psychicznej jest córka - zauważył Kostecki.

- Myślisz, że będzie wiedzieć, czy jej ojciec był pedałem? - zagadnął Moczkowski.

- Myślałem o wątkach majątkowych. Nie możemy wykluczyć, że zabójca, profanując zwłoki, chciał zakamuflować właściwy powód mordu.

Przełożony popatrzył na Kosteckiego z uznaniem.

Rozmowa była trudna. Córka Babickiego niemal nie przestawała łkać. Wraz z nią płakał malutki bobas. Podczas tych powodowanych łzami przerw w rozmowie Kostecki wyglądał przez okno, za którym rozpościerała się panorama miasta ogarniętego chłodem. Temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni Celsjusza. Porucznik z zadowoleniem przyglądał się czterem masztom, które od kilku tygodni dumnie oświetlały stadion Widzewa.

- Proszę pani, czy pani ojciec był... - trzy razy zadawał to pytanie i za każdym razem kobieta wybuchała płaczem. Kostecki przeklinał w duchu wybór drogi zawodowej. Wreszcie kobieta wydusiła z siebie:

- Nic o tym nie wiem. Matka nigdy nic na ten temat nie mówiła.

- A o innych kwestiach małżeńskich wspominała?

- Byli bardzo zgodnym małżeństwem.

Tadeusz zbyt długo był milicjantem, by dać się nabrać na tego typu banalne kłamstwa.

- Zachodzę w głowę, czy motyw mógł być materialny? Czy pani ojciec dysponował dużą gotówką? Miał jakieś cenne rzeczy?

- Wątpię. Na kupno tej willi poszły wszystkie oszczędności. Podobno nawet się zadłużyli u rodziny i znajomych. O jakichś cennych przedmiotach nic nie wiem.

Rozdział 4

Tadeusz z ciekawością patrzył na nieznane mu miasto. Zimny maj poszedł sobie precz, przyszły słoneczne i ciepłe dni. Tadek z czułością pomyślał o plaży i falach Bałtyku. Na razie jednak musiał skupić się na śledztwie, które zmusiło go do podróży na północ ludowej ojczyzny. Nigdy wcześniej nie był w Koszalinie.

- Myślisz, że nas też inwigilują?

Siedzieli w restauracji i pili napój firmowy. Piwa nie było. Opryskliwa kelnerka poinformowała ich, że ma być w wakacje. Jabłoniak, patrząc na Tadeusza, nerwowo przekrzywił głowę. Kostecki uwielbiał takie chwile. Głowa kolegi przypominała mu wielką cebulę. Rumiane lico Jabłoniaka biło wieczną czerwienią.

- A skąd wiesz, czy go inwigilowali?

- No a te kochanki?

- Że SB, na rozkaz Kiszczaka, znalazło dla nas takie informacje, to nie musi być jeszcze wynikiem inwigilacji. Koszalin to nie Łódź, która ze Zgierzem i Pabianicami ma milion mieszkańców. Dodaj Konstanyńów i Aleksandrów...

- To skąd wiedzieli?

- Tłumaczę ci. W takim mieście jak Koszalin ludzie wiedzą o sobie dużo. Kto z kim sypia, kto z kim pije, kto napierdala żonę, a kto się boi teściowej. Nie musieli go inwigilować. Po prostu wiedzieli. Chociaż... - Tadek zawiesił głos. Łyknął napoju i dokończył: - Chociaż kto ich tam wie? Teraz to mają urwanie głowy z opozycją. Nurt lewicy laickiej, Solidarność Walcząca, grupa Macierewicza, prawdziwi Polacy, jakieś grupy młodzieżowe. Podobno we Wrocławiu jacyś wariaci przebijają się za krasnoludki. Ich przecież też trzeba inwigilować. Cały Jarocin! Brodnica! Olsztyńskie Noce Bluesowe! A Kościół? Oazy, bractwa żywej róży, pielgrzymki! Mówimy o setkach, tysiącach ludzi!

- Ale dwadzieścia lat temu?

- Do tego zmierzam. Dwadzieścia lat temu był Kuroń z Modzelewskim. Potem garstka komandosów. Dziesięć lat temu nie było nawet KOR-u!

- To oznacza, że bezpieka miała mnóstwo wolnego czasu i wielu towarzyszy z SB mogło inwigilować każdego, nawet swojaka.

- Masz rację. Może go inwigilowali? Jeżeli tak, to słabe wyniki tej obserwacji. Ustalili, że miał dwie dupy na boku...

Do stolika podszedł jegomość. Miał około sześćdziesięciu lat. Nie zapytał, czy może się dosiąść, po prostu usiadł. Gdy dosunął krzesło, obok stolika błysnęły trzy butelki żywieckiego piwa. Opryskliwa, przynajmniej do tej pory, kelnerka obdarzyła Tadeusza promiennym uśmiechem.

- Pijcie, obywatele, ile chcecie. Jest zapas - odezwał się sześćdziesięciolatek.

Bystre oko Kosteckiego dostrzegło, że prawie pełny do tej pory lokal zaczął pustoszeć. Łyknął piwa, było idealnie schłodzone. Starszy człowiek patrzył na nich uważnie i mówił powoli.

- Na razie śledztwo prowadzi Łódź. Chociaż nie jest wykluczone, że klucz do sprawy leży tu, w Koszalinie. Przysłał mnie towarzysz Kiszczak. Dla niego to ważne. Mam wam przekazać parę rzeczy, dosyć poufnych. Jak już wiecie, towarzysz minister nie wyklucza, że zabójstwo towarzysza Babickiego może być wynikiem jakiejś wewnętrznej resortowej akcji, wymierzonej w obecny układ polityczny. By zrozumieć cały kontekst, musimy cofnąć się kilka lat, do roku osiemdziesiątego. Zapewne pamiętacie, że przyniósł szereg zawirowań, również w resorcie. A nawet w partii. Towarzysz Jaruzelski dobrze wyczuł nastroje i podjął szereg działań oczyszczających. Nie będziemy bawić się w dyplomację. Dobrze wiecie, że za Gierka dochodziło do nadużyć. Dotyczyło to także MSW. Budowa domków lotniskowych z materiałów przeznaczonych na cele mieszkaniowe, wykorzystywanie do pracy zomowców. I tak dalej, i tak dalej. By oczyścić bagno, towarzysz Jaruzelski powymieniał wielu komendantów wojewódzkich. Zresztą taki przypadek miał miejsce w Łodzi. Przestał pełnić funkcję ministra spraw wewnętrznych Milewski. Jego miejsce zajął towarzysz Kiszczak. Wiecie o tym zresztą dobrze. Już zmierzam do sedna. - Towarzysz sześćdziesięciolatek napił się dobrze zmrożonego piwa. Westchnął i mówił dalej. - Gdy Kiszczak został ministrem, pojawił się problem towarzysza Babickiego. Materiał był tak obciążający, że nawet życzliwy Babickiemu prokurator musiałby go sądzić. Po pierwsze, dacza pod miastem. Standard. Podobny do innych przypadków: wykorzystywanie materiałów budowlanych pochodzących z państwowych inwestycji, zaniżone ceny materiałów, praca wykonywana, rzecz jasna nieodpłatnie, przez szeregowych funkcjonariuszy. Tak na

marginesie, komendant posterunku w Sławnie, który osłaniał całą sprawę, dostał awans. Wylądował w komendzie wojewódzkiej w Koszalinie. Po drugie, kolejny standard, czyli łapówki za pomoc w uzyskaniu paszportu. W roku osiemdziesiątym towarzysz Babicki kupił córcę, w nagrodę za to, że dostała się na studia w Łodzi, Fiata 131p Mirafiori. Sam Babicki jeździł wtedy nowym mercedesem, co ma związek z trzecim problem. Ten trzeci problem to już nie standard. Otóż w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym Babicki wraz z kolegami z drogowki założył w banku spółdzielczym rachunek. Oficjalnie na potrzeby Komitetu Miejskiego Frontu Jedności Narodu. Oczywiście wszyscy milicjanci byli gorliwymi aktywistami frontu. Gdy ktoś popełniał wykroczenie drogowe, miał do wyboru: kolegium albo wpłata na założone przez Babickiego konto. Nie muszę wam mówić, że wpłata na konto była niższa... Obowiązywał nawet cennik. Najwięcej bulili prywatniarze i towarzysze z urzędu. Piętnaście tysięcy. Prywaciarz, tracąc prawo jazdy, utraciłby możliwość zarobkowania. A urzędnikowi kolegium mogło popsuć karierę w partii. Inni płacili po dziesięć tysięcy. Na przykład chłopci z własną gospodarką. Akcją objęci byli także prowadzący motocykle, skutery, a nawet rowery i furmanki. To były ogromne pieniądze. Środki z kasy inwestowano w różne imprezy. Na przykład pięć milionów złotych poszło na wystawę Koszalin w obiektywie. Wiecie, kto był kuratorem wystawy?

- Żona? - bystro włączył się Tadeusz.

- Bingo.

Wypili po kolejnym łyku piwa. Funkcjonariusz mówił dalej.

- To już nie był standard. To było zorganizowanie grupy przestępczej. Właściwie, tak jak już mówiłem, sprawa dla prokuratora.

- Ale przecież towarzysz Babicki uczęszczał do szkoły kadr partyjnych w Łodzi. Tam poznał towarzysza Kiszczaka - znów wtrącił się Kostecki.

Starszy gliniarz kiwnął głową.

- Towarzysz Babicki poznał w Łodzi nie tylko Kiszczaka, ale także Moczara. Szefa Najwyższej Izby Kontroli.

- Obydwa postępowania zostały umorzone - tym razem odezwał się Jabłoniak.

- Tak. Kiszczak udzielił Babickiemu reprimendy. Babicki sprzedał tego mercedesa. Chodziło o to, by nie kłuć w oczy innych. Moczar też pamiętał o starym, dobrym towarzyszu z miasta Łodzi. Sprawa przycichła. Potem stan wojenny. Potem umarł towarzysz Moczar. Sprawa rozeszła się po kościołach. Dopiero na początku tego roku sprawa Babickiego jakoś wróciła.

W marcu na łamach kilku podziemnych gadzinówek ukazały się artykuły szkalujące Kiszczaka i Jaruzelskiego. Teza była taka, że walka, jaką partia podjęła o oczyszczenie własnego środowiska z moralnego szamba, to lipa. Że patologia jest akceptowana dalej. Jako jeden z argumentów przytoczono sprawę Babickiego. Dla towarzysza Kiszczaka jest oczywiste, że za wyciekami stoi ktoś, kto ma dostęp do bardzo tajnych dokumentów. Nie ma szans, by takie informacje opozycja zdobyła bez cynku z naszej strony. Towarzysz Kiszczak stoi na stanowisku, że sprawa zabójstwa Popiełuszki oraz sprawa wycieku danych ma związek z walką frakcyjną na szczytach władzy. Być może zabójstwo Babickiego też ma wymiar mordy politycznego.

Emisariusz Kiszczaka zamilkł. Kelnerka sprzątnęła ze stołu puste butelki i postawiła nowe, pełne pianistego płynu. Po upiciu nowej transzy piwa sześćdziesięciolatek mówił dalej.

- Właściwie tylko chuj w dupie towarzysza Babickiego nie pasuje do tej koncepcji.

- No właśnie - ożywił się Jabłoniak. - Tło jest raczej seksualne.

- Dlatego tę sprawę prowadzicie wy. Kiszczak ma zaufanie do komendanta Moczковского. Zobaczmy. Jeżeli okaże się, że klucz do sprawy leży w Koszalinie, powołamy międzywojewódzki zespół śledczy. Rozważamy taki scenariusz. Ale na razie nie podejmujemy żadnych przedwczesnych ruchów.

- A wątek zemsty męża-rogacza? - zapytał Kostecki.

- Nie można tego wykluczyć. Ale mówiąc szczerze, życiem intymnym towarzysza Babickiego nie interesowaliśmy się zbyt. W tej sprawie nie było donosów.

- Może jak trafił fajną dupę, to nie kazał jej wpłacać na fundusz, tylko...
- dał do zrozumienia Kostecki.

- Niewykluczone - odpowiedział wysłannik Kiszczaka. - W takim wypadku znalezienie sprawcy lub sprawczyni będzie praktycznie niemożliwe.

Dopili złocisty napój.

- To są nazwiska osób, które w osiemdziesiątym roku piły donosy na szachrajstwa Babickiego do NIK-u i prokuratury. Sprawdźcie ich. Może coś znajdziecie. Piwo na rachunek funduszu operacyjnego. Możecie wypić po jeszcze jednej butelce. Jest okocimskie, leżajskie, jakie chcecie. Osobiście polecam tutejsze z browaru w Koszalinie - delegat szefa MSW położył na

stole kartkę, po czym wstał i wyszedł. Kelnerka podeszła z tacą. Obaj milicjanci zawierzili gustowi zaufanego Czesława Kiszczaka.

Kostecki spojrział na zegarek. Minęła siedemnasta. Zapłacili za napój i pojechali na osiedle Tysiąclecia. Pani Maria oczekiwała na nich w swym dwupokojowym mieszkaniu. Gdy weszli, Kostecki poczuł na sobie intensywny wzrok starszej damy. Nie wyglądała na pięćdziesiąt pięć lat. Patrzyła wyzywająco. Gdy usiadła, założyła nogę na nogę w taki sposób, by wyeksponować ich zgrabny kształt. Porucznik gwałtownie przełknął ślinę. Na stole stał dzbanek z kompotem. Gospodyni naleła im do szklanek napitku. Patrzyła na Tadeusza z uwagą i pożądaniem. Kostecki skrył lekkie zmieszanie i zagaił:

- Jak pani wie, prowadzimy śledztwo związane ze śmiercią podpułkownika Babickiego. Przez lata zostawała pani z nim w intymnych relacjach.

- To ma związek z jego śmiercią?

- Może mieć - powiedział Kostecki.

- Co panów interesuje? Czy wolicie formę „obywatele”?

Kostecki zmieszał się. Rozmowa o życiu intymnym innych ludzi zawsze sprawiała mu kłopot.

- Czy podczas waszego dwudziestoletniego związku zdarzyło się coś, na co zwróciła pani uwagę?

- Nie rozumiem - Maria wydeła seksowne usta.

- Pytam o życie erotyczne - Kostecki spurpurowiał na twarzy.

- Dalej nie rozumiem? Pyta pan, czy mnie bił lub wiązał?

- Z grubsza o to chodzi. Powiem tak: czy odniosła pani kiedykolwiek wrażenie, że pani kochanek może być homoseksualistą?

Kobieta ryknęła śmiechem. Śmiała się długo. Po chwili z jej oczu płynęły łzy. By nie popsuć starannego makijażu, opanowała się. Poprawiła jasne włosy, wzięła głęboki oddech i tłumiąc śmiech, powiedziała:

- Panie poruczniku, powiem tak: nie powinno się mówić źle o zmarłych. Jednak nie układam mowy pogrzebowej, tylko mówię, jak było. A było tak: przez dwadzieścia lat naszego związku nie kupił mi żadnego kwiatka, nie zabrał do kina, nie posprzątał i nie wyniósł śmieci. Nie zapytał, czy sobie radzę. Powiem brutalnie i dosadnie: był wyjątkową kanalią i łajdakiem. Wie pan, dlaczego tak długo byłam jego kochanką?

- Dlaczego?

- Młody pan jeszcze jest i widać nie poznał pan wystarczająco dobrze życia. Byłam z nim, bo jak mnie pierdolił, to szły iskry. Nigdy mnie nie uderzył. Nie musiał, byłam wierną suką. Znosiłam z bólem pozycję tej drugiej. Może były tego jakieś pozytywy? Kryśka mówiła, że ją bije. Sama widziałam sińce pod oczami.

- Ma pani na myśli jego żonę? - do rozmowy wtrącił się Jabłoniak.

- Tak. Po dwudziestu latach życia w trójkącie poznaje się i akceptuje wszystkie jego boki lub kąty, jak pan woli, poruczniku.

- Podsumowując. Był typowym heteroseksualistą? - zapytał Tadeusz.

- Bardzo typowym. Nie miał żadnych odchyłów. Zadawał mnie w sposób tyleż skuteczny, co standardowy. Żadnych inności i nietypowych sytuacji.

Gdy wyszli z wieżowca, Kostecki powiedział:

- Niby Koszalin to nie Nowy Jork, a jednak jedna kochanka nie wiedziała nic o drugiej. Ciekawe, czy druga wiedziała o pierwszej?

Jabłoniak nie odpowiedział.

Po kwadransie byli na innym osiedlu. Pani Justyna mieszkała w takim samym mieszkanku, co pani Maria. Jednak wystrój był zgoła inny. Mieszkanie przypominało kancelarię parafialną. Na ścianach wisiały kalendarze z papieżem oraz obrazy o treści religijnej. Portret Wyszyńskiego obok podobizny Glempa, ksiądz Popiełuszko przykryty kiścią sztucznych kwiatów, a na biurku szyba, która przyciskała pocztówki z różnych miejsc pielgrzymkowych. Gospodyni, mimo że była młodsza od pierwszej kochanki Babickiego o ponad piętnaście lat, wyglądała dużo starzej. Miała już posiwiałe włosy. Ubrana była w szarą sukienkę. Gdy podawała herbatę, trzęsły się jej ręce. Oczy miała mokre od łez. Kosteckiemu zrobiło się żal kobiety, która była zaledwie pięć lat starsza od niego, a wyglądała jak jego matka. Schował jednak sentymenty głęboko i sztucznym głosem powiedział:

- Pozostawała pani w intymnych relacjach z podpułkownikiem Babickim w latach 1970-1976. Mamy kilka pytań.

Na twarzy kobiety pojawiła się mieszanka wstydu, żalu, cierpienia wymieszanego z pierwiastkami rozkoszy. By przykryć te pierwiastki, buchnęła płaczem. Obaj milicjanci spokojnie czekali, aż się wypłacze, zanim zapytali:

- Czy podczas współżycia obywatelka zauważyła u swojego partnera jakieś nietypowe zachowania?

Kostecki pomyślał, że użycie formy „obywatelka” nieco sformalizuje intymne pytanie. Błada jak ściana kobieta zrobiła się nagle pąsowa, a po chwili zielonkawa. Tadeusz przestraszył się, że niewiasta zaraz straci przytomność. Nie zemdląca, ale nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Zaciśnęła ręce na krzyżyku z Lichenia. Jabłoniak ponowił pytanie. Znowu zapadła cisza. Kostecki patrzył na kalendarze z papieżem. Rok 1979 przedstawiał papieża z meksykańskim chłopcem na ręku. Rok następny był upamiętniony zdjęciem z pierwszej podróży do ojczyzny. Anno Domini 1981 okraszono fotografią Jana Pawła II na tle gór. Podczas mundialu w Hiszpanii następca świętego Piotra, na zdjęciu, leżał w szpitalu postrzelony przez Alego Ağcę. Rok następny: Karol Wojtyła uśmiechał się do Matki Teresy. Rok orwellowskiej utopii był oznaczony zdjęciem głowy Kościoła na tle Wawelu. Rok bieżący przyniósł mieszkańcowi Watykanu wzrost sił witalnych. Wadowiczanie krzepko dzierżył w ręku ciupagę. Cisza trwała za długo, Kostecki wypalił:

- Czy podczas stosunków płciowych pani kochanek zachowywał się w nietypowy sposób? Czy zdarzały się w waszym pożyciu jakieś niecodzienne sytuacje? Na przykład stosunki doodbytnicze?

Twarz kobiety stała się granatowa. Kostecki zrozumiał, że stosunki analne miały miejsce. Poszedł więc za ciosem.

- Czy te zbliżenia doodbytnicze dominowały w waszym pożyciu? Czy ich częstotliwość była porównywalna ze stosunkami per os?

Kostecki natychmiast poznał po minie niewiasty, że nie rozumiała zwrotu „per os”.

- Pytam, czy brała pani do ust genitalia partnera z taką częstotliwością, z jaką oddawała się mu analnie i klasycznie?

Lico białogłowy stało się fioletowo-pomarańczowe. Jabłoniak pomyślał z przestachem, że dama dostanie zaraz wylewu. Powiedział, siłąc się na łagodny ton:

- Rozumiem, że nasze pytania mają charakter intymny, ale musimy je zadać. Lepiej, żeby pani odpowiedziała na nie teraz, niż później na sali sądowej pełnej ludzi. - Trafił w dziesiątkę. Użyty argument miał siłę bomby atomowej. Kobieta zaczęła mówić:

- Nasze stosunki były raczej standardowe. Seks doodbytniczy zdarzał się bardzo rzadko. Kilka razy podczas naszego romansu. Per os miał miejsce zdecydowanie częściej. Zwykle jednak było to klasyczne współżycie.

Gdy milicjanci opuścili mieszkanie, pani Justyna weszła pod prysznic. Woda lała się i lała. Sąsiedzi, którzy niepokoiłi się, że w końcu z sufitu zacznie kapać, nie mieli pojęcia, że woda nabrała różowej, a potem czerwonej barwy. Gdy po godzinie załomotali do drzwi, amatorka szorowania skóry zmywakiem do osmolonych garnków skrywała rany pod szlafrokiem.

Na dworze zrobiło się rześko. Kostecki przekazywał Jabłoniakowi swoje refleksje na gorąco.

- Kurwa, żadnego śladu. Normalny glina, ruchał wszystko, co się nawinęło i nie uciekało na drzewo. Gdybyśmy poszukali dłużej, toby się okazało, że połowę żeńskiego Koszalina wypierdolił.

- Te kilka razy...

- Masz na myśli chędożenie w dupę tej dewotki?

- Ująłeś to we właściwy dla siebie sposób, z gracją i elegancją.

- Mam to nomen omen w dupie.

Obaj ryknęli śmiechem. Kostecki kontynuował:

- Te kilka razy nie ma znaczenia. Ot, mały eksperyment z katoliczką kurwą. Obraz wyłania się taki: Babicki, zgodnie ze swoim nazwiskiem, był psem na baby. Gadaliśmy z dwiema oraz z żoną. Żadna nie napomknęła o jakichś odmiennościach erotycznych. Po prostu solidny jebaka i tyle.

- Ale po zabójstwie morderca wsadził mu w odbył sztuczny penisa.

- Nic z tego nie rozumiem.

- A może tego drewnianego chuja wsadził mu w dupę jakiś kolega z milicji, któremu Babicki dorobił poroże?

- Od biedy koncepcja jest do przyjęcia. Ale pomyśl, Babicki był na emeryturze. Kiedy by tę hipotetyczną żonę kumpla wyruchał? Kilka, może nawet kilkanaście lat temu. I teraz co? Zdradzony mąż czeka, aż Babicki wróci do Łodzi. Utrudnia sobie działanie. To bez sensu. Albo przynajmniej mało sensowne.

- Ale może warto to sprawdzić.

- Ale jak? Będziesz wypytywać kumpli, czy podpułkownik Babicki dupczył ich żony na boku?

- A może był z kimś w konflikcie?

- Może... Ale o nikim takim nic nie wiemy.

- A może, jak jesteśmy w Koszalinie, to zerkniemy do spraw, które prowadził?

- Myślisz, że jakiś poszkodowany kierowca jest pedałem i się zemścił?

- Tak myślę.

- W sumie co nam wadzi... Skoro Kiszczakowi zależy, niech wyśle swoich esbeków do Koszalina. Niech spenetrują, to znaczy sprawdzą, środowiska miejscowych pederastów. Jeżeli okaże się, że któremuś za sprawą Babickiego zabrali prawo jazdy, będzie to rzeczywiście jakiś punkt zaczepienia.

Robiło się późno. Poszli do hotelu. W restauracji hotelowej zamówili wódkę, a gdy byli w połowie butelki, Jabłoniak przeszedł do sprawy, którą Mario Vargas Llosa nazwał kiedyś najważniejszą ze wszystkich spraw nieważnych.

- Myślisz, że w niedzielę wygrają?

- Muszą. Mundial bez Polaków to jak Watykan bez papieża.

- Może wpadniesz do mnie na mecz? Chłopaki cię uwielbiają. Wypijemy flaszkę. Mam dobry bimber. Tydzień temu było na wsi świniobicie.

- Brzmi zachęcająco.

- To co? Wpadniesz na obiad? Mecz zaczyna się o siedemnastej.

- Jak to mawiał Zagłoba? Kiep odmawia, gdy nie kiep zaprasza.

Rozdział 5

Następnego dnia pojechali pod wskazane przez emisariusza Kiszczaka miejsce. Anatol Kurzęda mieszkał przy ulicy Świerczewskiego, w charakterystycznym bloku z wizerunkiem planu miasta na szczytowej ścianie. Zaparkowali obok dworca.

- Co wiemy o obywatelu Kurzędzie? - zapytał Kostecki.

Wieczorem tak się podzielili pracą, że Jabłoniak zrobił przegląd danych przekazanych przez delegata szefa MSW, a Kostecki wziął na siebie rozmowy z ewentualnymi podejrzanymi. Układ ten był bardzo dla Tacka korzystny, gdyż wieczorem zakupił partię koszalińskiego piwa w SDH Saturn na Połtawskiej. Gdy Jabłoniak wkuwał wiadomości, Tadek raczył się trunkiem, chwając jego zalety smakowe.

- Stary wyjadacz. Do PPR wstąpił w czterdziestym czwartym. Pochodzi ze wsi pod Lublinem. Walczył w AL. Od czterdziestego piątego w koszalińskim Urzędzie Bezpieczeństwa. Nie odgrywał tam wiodącej roli. To spowodowało, że przetrwał wietrzenie korytarzy w pięćdziesiątym szóstym. W Marcu miał swoje wielkie dni. Moczar go docenił i awansował. Gdy do władzy doszedł Gierek, Kurzęda popadł w niełaskę. Odszedł ze służby w siedemdziesiątym piątym. Wykorzystano redukcję etatów w związku z tym, że z terenów województwa koszalińskiego wykrojono nowe województwo, ze stolicą w Słupsku. Oficjalnie odszedł ze względu na zły stan zdrowia. Dostał rentę i jakiś tam medal za walkę w partyzantce. Gdy wybuchł karnawał Solidarności i w łonie partii zaczęło się trzęsienie ziemi, pisał donosy na tych aparatczyków z kręgu władzy, którzy zbili forszę nieuczciwy sposób. Kilku tych aferzystów zostało odsuniętych. Jeden nawet dostał wyrok.

- Zawiasy.

- Skąd wiesz?

- Bo, kurwa, żyję w tym państwie trzydzieści pięć lat. Mów dalej.

- Kurzęda zapisał się do stowarzyszenia „Grunwald”. Tam zrobił karierę na poziomie województwa. W stanie wojennym tworzył oddziały partyjnej samoobrony. Domagał się wydania oddziałom ostrej amunicji i broni krótkiej. Bardzo aktywny na początku stanu wojennego. Dzięki niemu

udało się aresztować kilku opozycjonistów ukrywających się pod miastem. Jako dowódca patrolu zdekonspirował kilka bimbrowni i złodziejskich melin. Jaruzelski dał mu jakiś kolejny order. Gdy sytuacja w kraju była opanowana, odziały samoobrony zaczęto wycofywać z akcji. Zaangażował się w OKON. Obecnie aktywny w PRON. Facet ma bardzo radykalne poglądy. Klasyczny antysemita. To, że odszedł ze służby akurat w latach siedemdziesiątych, było wynikiem nacisków amerykańskich. Podobno w czasie okupacji sypnął jakichś ukrywających się Żydów. Niejasna sprawa. Faktem jest jednak, że odszedł z SB nie z własnej woli. W czasie stanu wojennego domagał się radykalnej rozprawy z opozycją.

- Jakież słabości?

- Tu jest problem. Gość jest czysty jak łąza. Żadnych kantów, lewizn. Do bólu uczciwy komunista.

- Tacy są, kurwa, najgorsi.

Kurzęda przywitał ich, dzierząc w dłoni „Żołnierza Wolności”. Kostecki z Jabłoniakiem pokazali legitymacje.

- Łódź? - zdziwił się gospodarz.

Zaprosił ich do środka. Dwupokojowe mieszkanie było skromnie urządzone. Kostecki dostrzegł zdjęcia i gadzety informujące o tym, że Kurzęda był sympatykiem miejscowej Gwardii. Gospodarz zaparzył herbaty, informując, że żona wyjechała do rodziny. Tadeusz z bólem przełknął pierwszy łyk naparu nazywanego gruzińskim. Podobnie jak duża część społeczeństwa miał wątpliwości, czy liście herbacianego krzewu choćby przejazdem były pod Kaukazem.

- Czym mogę służyć towarzyszom z miasta Łodzi?

Kostecki wziął na siebie ciężar rozmowy.

- W grudniu osiemdziesiątego roku napisał pan donos na towarzysza Babickiego.

- Tak. Napisałem i jestem z tego dumny. Byłem przekonany, że złożę zeznanie jako świadek i ta kanalia pójdzie siedzieć. Ale nawet nie dostałem wezwania do prokuratury. A miałem szereg dowodów. Zdjęcia, adresy osób gotowych zeznawać i tak dalej. Widać syjonistyczne macki nie zostały odpowiednio wypalone żelazem. Przetrwały. Za Gierka nawet wzrosły w siłę. Myślałem, że towarzysz Jaruzelski zrobi porządek z nadużyciami w szeregach partii. Ale najwyraźniej zabrakło sił.

- Nie czuł pan rozczarowania? Wypełnił pan obywatelski obowiązek, a Babicki nie poniósł najmniejszych konsekwencji. Pozostał w PZPR.

Sprawy nie skierowano nawet do kolegium. Nie mówiąc o prokuraturze.

- Nie jestem żadnym panem. Wypraszam sobie to sformułowanie. Od czterdziestego czwartego roku jestem członkiem PPR. Obecnie PZPR.

- Przepraszam, nie chciałem towarzysza urazić - wybąkał Tadeusz.

- Wracając do pytania: tak, czułem i czuję nadal ogromne upokorzenie i rozczarowanie. Zamiecienie pod dywan tych ohydnych machlojek Babickiego jest dla mnie jasnym dowodem, że syjoniści dalej czają się w szeregach partii. Chronią swoje mętne interesy i szykują się do porozumienia ze swoimi kamratami z Komitetu Obrony Robotników.

- Może towarzysz powiedzieć, kiedy zaczął się interesować nieuczciwymi działaniami Babickiego?

- Mogę, ale niech towarzysze powiedzą, czy wreszcie wymiar sprawiedliwości dobrał się temu skurwysynowi do tyłka?

- Idealnie towarzysz to ujął. Pierwszego maja Babicki został zamordowany, a jego ciało sprofanowane poprzez wbicie w odyby drewnianego kołka.

- Naprawdę? - gospodarz z trudem ukrywał radość.

- Naprawdę. Dlatego nasze pytanie jest takie: co towarzysz robił trzydziestego kwietnia i pierwszego maja?

Kurzęda nic nie odpowiedział, tylko podszedł do gabloty i wyciągnął wielki, czerwony album. Prywatną kronikę. Zdjęcia z uroczystości pierwszomajowych jeszcze pachniały klejem. W Koszalinie była wtedy ślota. Podobnie jak w Łodzi. Padał śnieg z deszczem. Na fotografiach Kurzęda dźwigał sztandar organizacji ZBOWiD. Ciało odziane w płaszcz opinała czerwona szarfa. Inne ujęcia przedstawiały towarzysza Kurzędę ściskającego dłonie miejscowym notablom. Pozował z nauczycielkami z ZNP, rozdawał dzieciom cukierki. Zdjęć było dwadzieścia.

- Całe moje życie poświęciłem PRL - powiedział gospodarz. Wyjął z gabloty kolejny album. Ten miał niebieską okładkę. - To moja miłość. Gwardia Koszalin.

Na kolejnych fotografiach gospodarz dźwigał worki cementu. Zdjęcia ukazywały rzeczywistość na początku lat sześćdziesiątych. Inne zahaczały o następną dekadę. Anatol Kurzęda wraz z innymi budował w czynie społecznym stadion ukochanej drużyny.

- Zobaczcie. Rok sześćdziesiąty szósty. Zawiazaliśmy wtedy komitet budowy kompleksu sportowego i rekreacyjnego. A to otwarcie stadionu.

Rok siedemdziesiąty pierwszy. Konkretnie jedenasty września. Obiektowi nadano wtedy imię Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

- Szkoda, że uroczystość nie miała miejsca tydzień później, byłaby rocznica - wtrącił Tadeusz.

- Potem dobudowaliśmy trybuny. Na dożynki. Gierek przyjechał. O, a to zdjęcia z meczów w Pucharze Polski.

Oczom obydwu łodzian ukazały się nietęgę miny piłkarzy Pogoni Szczecin i Górnika Zabrze.

- Dopiero w ćwierćfinale przegraliśmy ze Śląskiem.

Gospodarz przewrócił kilka kartek.

- Tutaj mecz z Dynamem Tbilisi, a tu prawdziwy rarytas - koreański zespół Annokah Phenian. A na meczu z Lechem było kiedyś osiemnaście tysięcy...

Pożegnawszy się z Kurzędą, wyszli na ulicę.

- No i dupa - Tadeusz skwitował efekty rozmowy.

Doszli do samochodu. Kostecki wyciągnął camele. Pałac papierosa, oglądał krzątających się koszalinian. Nagle zobaczył nietypowy autobus.

- To Bałtyk - wyjaśnił Jabłoniak.

- Nigdy nie widziałem takiej maszyny.

- Jako chłopak przyjeżdżałem do Koszalina z ojcem. Tata kupował tu bombki w Spółdzielni Pracy Ozdób Choinkowych. Miał też jakiś układ w Koszalińskich Zakładach Mięśnych. Z Łodzi przywoził majtki i kalesony. Na początku lat sześćdziesiątych jeździło ich sporo. Załoga Bumaru, w ramach czynu społecznego, zmontowała taki autobus w wersji lux. Jeździli nim na wycieczki. Ten autobus miał siedzenia lotnicze i klimatyzację. Jak lux, to lux.

- Już ich nie produkują?

- Od dawna.

- Co za, kurwa, kraj. W normalnym państwie takie bałtyki luxury produkowano by na eksport.

Jabłoniak nie skomentował wynurzeń na temat strategii gospodarczych PRL. Wyciągnął notatnik, żeby odświeżyć sobie informacje o drugim z ewentualnych podejrzanych. Po chwili zaczął mówić.

- Jan Lebioda. Mieszka na osiedlu Północ. Ulica Krasickiego. Naprzeciwko rzeźby Hasióra.

- Co o nim wiemy?

- Obecnie ormowiec. W latach czterdzieści pięć-pięćdziesiąt sześć w Urzędzie Bezpieczeństwa. Tak napierdalał, że wylali go jeszcze przed Październikiem.

- To chyba napierdalał towarzyszy towarzysza Gomułki.

- Nie tylko. Szukał epigonów Werwolfu. Łał wszystkich jak leci. Podobno wziął za hitlerowca jakiegoś zasłużonego towarzysza, co z Cyrankiewiczem siedział w Oświęcimiu. Nieważne zresztą. Przeszedł do ORMO i tam zrobił karierę. Na początku lat osiemdziesiątych przysłużył się, wskazując czarne owce w partii. Podobnie jak Kurzęda pisał donosy. Także na Babickiego.

- Też jest w Grunwaldzie?

- Nie, inny odłam partyjnego betonu. Ale podobnie jak Kurzęda ideowiec. Żadnych dziwek, lewych kas i tym podobnych aferek. Zawsze lojalny wobec partii. Też zaangażowany w tworzenie partyjnej samoobrony. Też domagający się bardziej radykalnych sposobów rozprawy z Solidarnością.

Wsiedli do auta. Po kilkunastu minutach dojechali do betonowego osiedla. Towarzysz Lebioda wpuścił ich do środka. Lokal był skromnie urządzony. Mężczyzna kulał.

- Problemy z nogą? - Kostecki z wysiłkiem zdobył się na uśmiech.

- Odezwały się stare rany. Bandyci spod znaku reakcyjnego podziemia ranili mnie w czterdziestym szóstym. Było dobrze, ale człowiek się starzeje. Te majowe chłody...

Obaj milicjanci pokiwali głowami. Kostecki wyjaśnił cel przybycia. Gdy opowiedział o śmierci Babickiego, gospodarz wypalił:

- Wiedziałem, że w końcu go ktoś zabije. To kawał łobuza był. Kawał skurwysyna, mówiąc między nami.

- Znał towarzysz Babickiego - powiedział Jabłoniak.

- Oczywiście. Bardzo dobrze go znałem. To przez takich jak on reakcja spod znaku Solidarności omamiła miliony robotników. Solidarność, za przeproszeniem, chuja by osiągnęła, gdyby nie czarne owce pokroju tego łajdaka. W roku osiemdziesiątym pisałem do różnych instytucji, do partii, do Najwyższej Izby Kontroli. I nic. Wraz z innymi towarzyszami, którym rewizjonizm nie urwał jaj, zaczęliśmy inicjować powstanie bazy dla ruchu Rzeczywistość. Pierwszy klub stowarzyszenia oficjalnie powstał w Łodzi. To był wrzesień. Tak sobie myśleliśmy, że Łódź - kolebka ruchu robotniczego - stanie się źródłem odrodzenia myśli komunistycznej. Punktem wyjścia do reformy systemu i zdecydowanej walki z imperializmem. Jakież było moje

zdziwienie, gdy okazało się, że łódzki lider Rzeczywistości, towarzysz Tupiak, przyszedł z tą szują, z Babickim. Wściekłem się! I wygarnąłem towarzyszą z Rzeczywistości, kto zacz. O wszystkich jego machlojkach powiedziałem. Poskutkowało. Wyszedł z sali i nigdy nie wrócił, a Tupiak tłumaczył się, że Babicki przyjechał do córki, która zaczęła studia, zresztą nieważne. Ważne, że nie doszło do kompromitacji i ta kanalia nie weszła do stowarzyszenia, którego celem było oczyszczenie szeregów partii z takich jak on pasożytów.

- Zna towarzysz Łódź? - zapytał Jabłoniak.

- Znam. Ja ze Skierniewic pochodzę. Z towarzyszami z Łodzi zetknąłem się jeszcze w czterdziestym trzecim. Gdy nadeszło wyzwolenie, zacząłem organizować posterunek w Giżyńcu, koło Płocka. Potem zabezpieczałem reformę rolną na Pomorzu Zachodnim i referendum. Wtedy to byłem już w UB. Pewnie bym był teraz zastępcą Kiszczaka, ale jacyś źli ludzie zaczęli gadać, że w czasie okupacji byłem agentem gestapo. Najpierw straciłem stanowisko w UB, potem przestałem być członkiem partii. Po Październiku się odwołałem i znów stałem się członkiem PZPR. Do SB mnie jednak nie przyjęli, ani do milicji. Oficjalnie przez ten postrzał, co go od leśnej bandy dostałem. Zostało ORMO. Tam się spełniam. Pracę znalazłem w Zakładach Przemysłu Cukierniczego Bogusławka. To po linii cukierniczej poznałem towarzyszkę Tatarównę. To dla mnie wielki zaszczyt i honor móc wspomagać towarzyszkę takiego formatu. Specjalnie dla towarzyszki Tatarówny przyjeżdżałem do Łodzi ze słodyczami. Zmotywowałem nawet żalogę, by w ramach czynu społecznego wyprodukować dodatkowe porcje łakoci dla łódzkich dzieci. Ona je uwielbiała. Gdy Gomułka odsunął ją od władzy, całe swoje komunistyczne serce włożyła w opiekę nad dziećmi.

- A kiedy towarzysz był ostatni raz w mieście Łodzi? - zapytał Jabłoniak.

- Niedawno. Pierwszomajowe święto spędziliśmy razem.

- Pierwszego maja towarzysz przyjechał do Łodzi?

- Nie. Dwudziestego dziewiątego. Pociągiem przyjechałem.

- A spał towarzysz w hotelu Centrum?

- A skąd! Nie stać mnie. Od stycznia jestem na emeryturze. Żyję skromnie. W Łodzi korzystam z gościny towarzyszki Tatarówny. W pracy polityczno-wychowawczej w swoich środowiskach i organizacjach powinniśmy kształtować i propagować osobowość komunisty jako człowieka o zimnej głowie, gorącym sercu i czystych rękach. Nocowanie w hotelach nie kojarzy mi się z niczym czystym.

- Kogoś jeszcze towarzysz odwiedzał lub odwiedza w Łodzi? - ponownie zapytał Jabłoniak.

- Partia musi wytrwale odzyskiwać zaufanie, umacniać wpływy wśród młodzieży, na której postawach najdotkliwiej odbił się kryzys polityczny i moralny. Młode pokolenie szczególnie ostro odczuło rozbieżności między deklarowanym a rzeczywistym obrazem sytuacji. Tak. Oczywiście. Łódź, jako proletariackie miasto, jest mi szczególnie bliska. Byłem przy rejestracji Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. W czerwcu osiemdziesiątego pierwszego. W łódzkim urzędzie miasta zarejestrowano związek pod numerem czterysta trzydziestym ósmym. Młodzi łódzcy komuniści traktowali mnie jak swojego mentora. W lipcu odbyło się w Łodzi pierwsze ogólnopolskie spotkanie. Zostałem zaproszony jako specjalny gość. Młodzi wyczuwają, że za pierwszym błędem idą następne. Odejście od pryncypiów socjalizmu w pięćdziesiątym szóstym było tym pierwszym błędem. Dlatego młodzi widzieli we mnie wzór. Byłem dla nich nieskalanym rewizjonizmem wojownikiem komunistycznej rewolucji. Niestety potem to się jakoś rozmyło. Myślałem, że generał Jaruzelski weźmie to wszystko za ryj. Ale stało się inaczej. Prawie wszyscy wrogowie socjalizmu, z ekstremą Solidarności na czele, wyszli z więzienia. Nie tak miało być, nie tak to miało wyglądać.

Emeryt podeszedł do okna i wskazał na rzeźbę Hasiora.

- A wszystko zaczyna się od sztuki. Zobaczcie te dziwolaży. To ma być pomnik poświęcony ludowemu Wojsku Polskiemu? Te niby ptaszyska? Wiecie, ile ten cały Hasiór dostał? Trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Dwa nowe polonezy. Tyle pieniędzy dla pijaka. Nic dziwnego, że socjalizm się sypie. Najlepszym pomnikiem byłyby szubienice z wrogami ludu dyndającymi na wietrze. To byłaby sztuka. To byłoby widowisko.

Obaj milicjanci, pożegnawszy się z niezłomnym wrogiem rewizjonizmu, wyszli przed blok.

- To co? Wracamy - powiedział Tadek.

- Poczekaj. Mam od tego chuja zamiar na sklep firmowy tej Bogusławki. Nie masz dzieci, to nie wiesz, jak to jest, gdy przychodzą i mówią, że kolega przyniósł czekoladki i dał im powąchać pudełko.

Pojechali pod sklep. Jabłoniak ustawił się w kolejce, a Kostecki udał się na spacer do parku imienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Po godzinie dołączył do niego Jabłoniak z torbą wypełnioną łakociami.

W drodze powrotnej podjęli znów temat śledztwa.

- Myślisz, że to on? - zapytał Jabłoniak.

- Niewykluczone. A nawet bardzo prawdopodobne. Wiemy, że Babicki został zamordowany we wtorek wieczorem, dnia trzydziestego kwietnia. Towarzysz Lebioda nie ukrywał faktu, że tego dnia był w Łodzi. Pikanterii dodaje fakt, że przebywał w mieszkaniu towarzyszkii Tatarkówny. Wiesz, gdzie mieszka Tatarkówna?

- Nie.

- Na Kopcińskiego. Obok parku Trzeciego Maja.

- Naprawdę?

- Tak. Mój ojciec znał ją. Ona mieszka w kamienicy obok tych dawnych oficerskich willi. Do miejsca, gdzie doszło do zabójstwa Babickiego, można dojść w kilka minut.

- Cholera. Myślisz, że spotkał Babickiego w parku i postanowił go zabić?

- Być może. Ale możliwy jest też inny scenariusz. Lebioda, bywając często u Tatarkówny, miał możliwość spotkać Babickiego wcześniej. Babicki mieszkał na Zelwerowicza od niedawna, ale przecież musiał przyjeżdżać oglądać dom lub domy, które chciał kupić. Jego córka mieszka koło radia. Rzut beretem. Na studiach mieszkała pewnie w akademiku na Lumumby. Też blisko. Babicki ją odwiedzał. Sam Lebioda o tym wspomniał. Moim zdaniem możliwy jest taki scenariusz: Lebioda to fanatyk. Babickiego darzył nienawiścią, gdyż ten poprzez swoje kanty i oszustwa kompromitował socjalistyczny ład. Donosy i wnioski do prokuratury i NIK nic nie dały, bo Babicki miał plecy jak mało kto. Zdesperowany Lebioda postanowił sam wymierzyć sprawiedliwość. Zorientował się, że może dopaść Babickiego w Łodzi. No i dopadł. Znali się z Koszalina. Babicki wpuścił do domu Lebiode, który walnął go młotkiem. Dobra, pewna, ubecka ręka. Trafiony, zatopiony. Moim zdaniem trzyma się to kupy, jest podstawa do aresztowania.

- Zapominasz o dwóch sprawach. Po pierwsze, Lebioda kuleje. Po drugie, nie krył się z tym, że Babickiego nie cierpiał i źle mu życzył. Gdyby go zabił, to raczej bagatelizowałby niechęć do Babickiego.

- Być może obie poruszone przez ciebie sprawy mają związek. Lebioda zorientował się, że wpadliśmy na jego trop. Rzekoma kontuzja miała być zasłoną dymną. Chciał nam powiedzieć „tak, kuleję, dojsście z Kopcińskiego na Zelwerowicza byłoby dla mnie trudne. Ewentualna ucieczka tym bardziej”. Według mnie to co widzieliśmy było grą. Pamiętaj, że to stary ubek, uczony przez mistrzów z NKWD. To dlatego tak zagrał. Kontuzja miała być zasłoną. Otwarte przyznanie się do niechęci wobec Babickiego

miało uśpić naszą czujność. Moim zdaniem tak to wygląda. To on zabił Babickiego.

- A ten chuj w dupie?

- Dla zmylenia tropu. To mu się udało. Najpierw w śledztwie pojawił się wątek skierowany w stronę zbrodni na tle erotycznym.

- A może mu Babicki wyruchał kobitę.

- Może. Jemu albo jakiemuś kumpłowi. Jak przyskrzynimy Lebiotę, to się wyjaśni. Myślę, że Moczowski i Banasiki zgodzą się z moimi hipotezami. No, chyba że w sobotę albo w niedzielę znajdziemy kolejnego trupa z drewnianym chujem w tyłku. Ale o tym pogadamy w poniedziałek. Zbliża się weekend. Należy nam się odsapka. Jutro leżę plackiem w domu. A w niedzielę oglądamy razem mecz.

Rozdział 6

Niedziela była piękna. Kostecki nie mógł uwierzyć, że jeszcze niedawno całą Łódź przykrywała gruba warstwa śniegu. Do Jabłoniaków poszedł piechotą. Mieszkali na tym samym osiedlu co on. Co prawda na „Retce” mieszkało tyle ludzi, co w połowie Koszalina, ale po śledztwie prowadzonym na południu Polski Kostecki stał się zapalonym wędrowcem. Z okazji meczu przyniósł butelkę rumu, który dostał od saunowicza Stanisława. Poradę urologa, by ograniczyć spożycie alkoholu, traktował z właściwą sobie dezynwolturą.

Przed telewizorem zasiedli we czwórek. Jabłoniak miał dwóch synów: dziesięcioletniego Marcina i ośmioletniego Wojtka. Obaj byli zapalonymi kibicami, tak jak ojciec. Pełnymi podziwu oczami wpatrywali się w zbudowanego jak Marek Perepeczko Kosteckiego. Prawie dwumetrowy judoka nadawał się na idola lepiej niż cebulasty tata, który swoją drogą bardzo się starał jak najsumienniejsze spełniać obowiązki rodzica i męża. Pani Danuta przywitała Kosteckiego uśmiechem. Postawiła na stole talerz mielonych i zadowolona, że ma chwilę spokoju, poszła do koleżanek na ploty. Od jakiegoś czasu tematem rozmów z przyjaciółkami był kolega z pracy jej męża. Kostecki podobał się kobietom. Czar pryskał, gdy wychodziło na jaw, że przystojny porucznik przez kilka miesięcy przebywał w szpitalu dla psychicznie chorych. Odium łagodziła wzmianka, że Tadek trafił do Kochanówki po tym, jak znalazł zamordowaną ukochaną. Jednak nawet w złagodzonej formie wieść o pobycie w szpitalu kładła się na Kosteckim jak cień. Pani Danuta postawiła sobie za punkt honoru ten ponury cień od Kosteckiego odczepić. W wolnych chwilach robiła zwiad, która z koleżanek ma koleżankę, której znajoma ma przyjaciółkę, która poszukuje mądrego i przystojnego faceta. Nie było to łatwe. Informacja, że ewentualny absztyfikant jest milicjantem od razu chłodziła zapal potencjalnych kandydatek, ale Danuta była wytrwała. Uknęła spiszek. Jej koleżanka Katarzyna miała przyjaciółkę Krystynę, która знаła Jolę. Jola była piękną, subtelną kobietą, której narzeczony skorzystał z okazji i został na Zachodzie. Po roku żałoby przyszedł czas na nowy związek. W spisek został wtajemniczony mąż pani Danuty, Mirosław Jabłoniak. Zwabił Tadka na mecz, wódkę wymieszał z wodą. Chodziło o to, by Kostecki nie był

pijany, gdy już mecz się skończy, tylko lekko wypity. Na wychodzącego z bloku przystojnego porucznika czyhała zasadzka w postaci „przypadkowo” przechodzącej pod klatką Danuty z koleżanką. Nawet mały Wojtek odegrał niewielką rolę w tym przedsięwzięciu – niby dla zabawy skropił Kosteckiego drogimi perfumami. Męska woda toaletowa, z górnej półki, pochodziła z peweksu. By ją kupić, Jabłoniakowie oszczędzali od początku roku.

Wszystko było gotowe. Ewentualne kłopoty mogli sprawić białoczerwoni, ale na boisku w Atenach sprawy też szły po myśli spiskowców. Festiwal bramkowy rozpoczął Smolarek, potem strzelał Ostrowski i Boniek. Porażka nie wchodziła w grę. Gdy mecz zbliżał się do szczęśliwego końca, Danuta z Jolą zajęły pozycje. Wydawało się, że wszystko pójdzie jak po maśle. I wtedy zadzwonił telefon. Po chwili Kostecki z Jabłoniakiem zbiegli przed klatkę. Stał tam już radiowóz, z błyszczącym na niebiesko kogutem. Wściekły Kostecki nie zauważył nawet pięknej trzydziestolatki, która stała u boku Danuty. Na gorąco dzielił się z kapralem Nitrzańskim, który po niego przyjechał, swoimi refleksjami:

- Jebane cioty, pierdolone zboczucho, cwele i dupodajcy! Nie mają kiedy sobie chujów wsadzać w dupę?

Danuta płonęła ze wstydu. Jola patrzyła z przerażeniem na dwumetrowego He-mana. Skonsternowana zaczęła płakać.

- Chuj jebany z Warszawki. Łódzkie powietrze mu śmierdzi. Warszawska kurwa. Na Legię niech spierdala. - Skonfundowane panie usłyszały jeszcze, jak Kostecki komentuje czwartą bramkę dla Polski, strzeloną przez Dziekanowskiego.

- Jak byłem w ZOMO - podchwycił kapral Nitrzański - to często patrolowaliśmy dworzec w Katowicach. Dobre miejsce, bo tam jest taki bar, a w tym barze zawsze jest piwo. Zawsze. Chyba jedyne takie miejsce w Polsce. A jak jest piwo, to ludzie sikają. Gdzie sikają? W krzakach, wiadomo. No to zawsze służbę zaczynaliśmy od badania krzaków. Jak który tam sikał albo piwo poprawiał gorzałą, to wpierdol. Szczególnie byłem cięty na cioty warszawskie. Nie darowałem żadnej. W końcu galanty kibic jestem z miasta Łodzi. Wystarczyło, że pociąg z Warszawy przyjechał, to natychmiast brałem się do roboty. Ile tego warszawskiego gówna się natłukłem... Ale któregoś razu trafił mi się lepszy cwaniak. Pamiętam personalia: Grzegorz Kalinowski. Wysoki taki... Zaraz go wyhaczyłem na peronie. Mówię mu, że pił w miejscu publicznym i wypisuję mandat. Taką miałem zasadę. Od razu brałem się za Warszawkę. Jak się taki jeden

z drugim nie stawiał, to byłem łagodny i za równowartość flaszki puszczałem wolno. Jak się stawiał, to wiadomo: wpierdol. Ale ten Kalinowski był inny. Ani się nie stawiał, ani nie był łagodny. On mnie pod włos brał. Na ambit mi zaczął wchodzić. Że niby chłopaki z Łodzi to miękkie faje i tylko w kupie są silni. Już mu miałem pałką przypierdolić, ale sobie myślę: a co mnie frajer warszawski będzie tu honoru pozbawiał. To mu mówię, że jak ma coś do łódzkich chłopaków, to niech na solówkę wyjdzie. A on mówi, że dobrze, ale sam stanąć nie może, bo ma bark wybity, ale kumpla ma, też kibica Legii. To ja mu mówię, za cztery godziny schodzimy ze służby. Tu w tych krzakach solo z kolegą. Myślałem, że skrewi, ale nie, minęły te cztery godziny, a rzeczywiście przychodzi z takim jednym. Słowo się rzekło, zdjęłem graty i w samym mundurze w krzaki polazłem. Co będę mówić. Złał mnie ten koleżka z Warszawy. Jak się gramoliłem z ziemi, to poprzysięgłem, że tego Kalinowskiego obedrę ze skóry następnym razem, ale następnego razu nie było... Ale ten osiłek, co to zapasy trenował, niczego sobie. Zygmunt Stolarczyk. Tak się nazywał. Ten cały Kalinowski mówił na niego Zyga. Oj, nie tylko kutasy z Legii miały u mnie przejebane. Najciekawiej było, jak były derby. A na Śląsku, jak to na Śląsku. A to Ruch grał z Górnikiem, a to Szombierki z Gieksą. Albo Zagłębie z którymś z tych klubów. Oni tam wszyscy Zagłębia nie cierpią. Mówią, że to nie Śląsk. Nieważne. Ważne, że tak ich spałowaliśmy, że przestali się napierdalać, przynajmniej po meczach. Nuda. Wkurwiłem się. Ugadałem chłopaków. Taki jeden góral, co do ZOMO poszedł za karę, bo był szulerem i jakiegoś tam bonza w chuja zrobił, miał urlop. Pogadałem z nim. Za flaszkę się zgodził. Wsiadł do pociągu z tymi chujami z Zabrze. Pociąg ruszył. Jadą hanysy spokojnie. Nagle ten mój kumpel szarpnął za hamulec. Pociąg stanął. No to my wtedy wyskoczyliśmy z zasadzki i dawaj. Napierdalały hanysów. Ten góral to też ich lał, pięściami. Oj, zabawa była na sto fajerek. Takiego jednego, który u tych cip z Zabrze robił za lidera, wzięliśmy na dworzec. Ten w Katowicach. Tam jest taki posterunek z celą. W tej celi jest umywalka. Ale ona jest tuż nad ziemią. Wrzucam go do tej celi, a on się pyta, dlaczego ta umywalka tak nisko. Ja mu na to, że po to, by skatowani mogli doczołgać się do wody. I chlast go Lolą. Posrał się, he, he. Posrał.

Rozdział 7

Ruda Pabianicka jest jednym z najciekawszych obszarów Łodzi. Do miasta włókniarek została wcielona przez Niemców, później komuniści anulowali decyzję nazistów, by następnego dnia znów przyłączyć Rudę do Łodzi. Na Rudzie zawsze było dużo zieleni. Obok drewnianych domków pamiętających czasy carskie oraz małych obskurnych kamieniczek pyszniły się dumnie wille podobne do pałacyków dawnych fabrykantów oraz solidne domy lekarzy i inżynierów. Przed jednym z takich domów zatrzymał się radiowóz z Kosteckim i Jabłoniakiem. Na miejscu był już Andrzejewski. Moczkowski miał już nawet dossier ofiary. Tylko Banasika nie było. Korzystając z ładnej pogody, wybrał się na majową wycieczkę rowerową. Kostecki miał wrażenie déjà vu. Na podłodze leżał starszy człowiek z roztrzaskaną głową. Spodnie miał zdjęte do kolan. Z odbytu wystawał mu drewniany penis. Kostecki nie musiał pytać o przyczynę zgonu. Młotek, nieznanej proweniencji, być może samoróbka. Do milicjantów podszedł Moczkowski. Wziął ich na bok i powiedział:

- Zgadnijcie kto to?
- Jaruzelski? - Kostecki zaryzykował żart.

Moczkowski jakby nie dosłyszał dowcipu. Machał za to teczką z jakimiś dokumentami. Tadeusz z Mirosławem bez trudu rozpoznali rodzaj teczki. Była stworzona przez SB.

- Profesor Karlicki. Adam Karlicki. Znany opozycjonista. Silnie związany z KOR, chociaż oficjalnie nie wszedł w struktury komitetu. Nasz tajny współpracownik podawał, jeszcze w 1976 roku, że liderzy tej pozał się opozycji postanowili nie angażować jawnego pederasty. Doszli do wniosku, że nie będą wystawiać się na odstrzał propagandowy. Jednak przez cały okres działalności Kuroniady i Michnikowszczyzny byli z nim w kontakcie i korzystali z jego rad. Facet był profesorem prawa. Wiele razy bardzo im pomógł. Rzecz jasna pomagał im w czasie karnawału kurwy „S”. Nie bez przyczyny trafił do internatu. Dzięki bogatej działalności politycznej dużo o nim wiemy. Bardzo dużo.

- Kiedy został zabity? - rzucił Kostecki w stronę doktora.

Andrzejewski kiwał głową, coś mamrotał, wreszcie odpowiedział:

- Rano. Dzisiaj rano.

Moczkowski kontynuował:

- Karlicki był, tak jak już mówiłem, zdeklarowanym homoseksualistą. Mamy lub będziemy mieć listę jego kochanków. Po nitce dojdziemy do kłębka.

- Zakładacie, towarzyszu pułkowniku, że morderstwo ma tło seksualne?

- zapytał Jabłoniak.

- Masz wątpliwości?

- Nie.

- To po chuj pytasz?

Okazało się, że wątpliwości miał kto inny. Następnego dnia Moczkowski długo, bardzo długo rozmawiał przez telefon z Kiszczakiem. Po rozmowie był tak wykończony, że musiał napić się wódki. Wypił całą butelkę. Zdrzemnął się godzinkę i wezwał podkomendnych. By zachować trzeźwość myśli, wychylił jeszcze szklanekę z nowej butelki i przegryzł miętusem.

- Długo rozmawiałem z towarzyszem Kiszczakiem.

Banasik, Kostecki i Jabłoniak słuchali uważnie.

- Towarzysz generał ma wątpliwości co do tła seksualnego obu zabójstw. Bo nie budzi chyba niczyich wątpliwości, że są one ze sobą związane. Nie żeby wykluczał motyw seksualny. Po prostu ma wątpliwości. Mówiłem wam o podejrzeniach towarzysza Kiszczaka. Po wczorajszym zabójstwie jego hipotezy nabierają nowego wymiaru. Towarzysz minister sugeruje, że możemy mieć do czynienia z jakimś spiskiem. Prowokacją. Mówiłem wam o tym. Informuję was, że na rozkaz towarzysza ministra ten wątek bierzemy pod lupę. Jeżeli coś znajdziemy, to sprawę przejmie Zarząd Ochrony Funkcjonariuszy. Jakie jest wasze zdanie?

Moczkowski spojrzął na Tadeusza.

- Wydaje mi się, że intuicja obywatela ministra może być uzasadniona.

Kostecki nie był w partii. Nie był, co prawda, tak odważny, by rzucić legitymacją, ale wybrał inne rozwiązanie. Nie płacił składek. Po trzynastym grudnia aktyw PZPR chciał zewrzeć szeregi i zaczął usuwać z partii tych mało gorliwych. Kostecki dostał kilka napomnień i ponagleń do zapłaty składek. Gdy wybiła godzina zero, przebywał w szpitalu dla psychicznie chorych, do którego trafił po śmierci ukochanej i ojca. Potem, gdy wyszedł, nikt już nie wracał do tematu PZPR. Oficjalnie został z partii usunięty, co uważał za jeden z nielicznych życiowych sukcesów. Jako bezpartyjny mógł względem Kiszczaka używać formy „obywatel minister”.

- Uważam - kontynuował - że wątek z, nazwijmy to, prowokacją ma jeden słaby punkt. Rozumiem, że zabójstwo człowieka związanego z KOR-em może być traktowane jako próba bojkotowania, czy też wręcz torpedowania polityki generała Kiszczaka względem opozycji. Jednak co ma wspólnego śmierć opozycjonisty-homoseksualisty z podpułkownikiem Babickim? Babicki zajmował się problemami drogowki. Nie ma bardziej apolitycznej formacji w MO. Poza tym nie miał związków ze światem mniejszości seksualnych. Dzisiaj przyszedł faks z Koszalina. Wśród osób, którym odebrano prawo jazdy na terenie województwa koszalińskiego nie ma osoby, która byłaby zadeklarowanym homoseksualistą. Sprawdzili ostatnie pięć lat. Liczba pederastów jest na terenie tamtego województwa dosyć znikoma. A koledzy z Koszalina zrobili dosyć dobre rozpoznanie.

- Może tamtejsi milicjanci nie ustalili wszystkich przedstawicieli tego środowiska - powiedział Moczkowski.

- Oczywiście jest taka możliwość. Przecież nie mamy oficjalnych rejestrów osób homoseksualnych. Nasze dane są niepełne. Jednak w przypadku Koszalina...

- Jaki z tego wniosek?

- Na razie żaden. Po prostu zastanawia mnie, że mamy w odstępie kilkunastu dni dwa łądząco do siebie podobne morderstwa. To jest oczywiste, że zabija ta sama osoba. Pytanie, co łączy opozycjonistę z podpułkownikiem MO? Co wiemy o tym Karlickim?

Na krześle poruszył się Jabłoniak. W szkole był prymusem, w przeciwieństwie do Tadka, i pozostał mu nawyk rzetelnego odrabiania prac domowych. Z zapalem zaczął mówić:

- Dokumentacja teczki figuranta jest bardzo ciekawa. Mamy bogaty materiał do analizy. Profesor Karlicki był znany ze związków z opozycją i światem homoseksualistów. Plotki mówią o związkach z pisarzem Andrzejewskim, tym od Popiołu i diamentu. Na co dzień mieszkał w Warszawie, tam też wykładał na uniwersytecie. W Łodzi przebywał w mieszkaniu brata, który wyjechał za granicę. Dzięki pracy agentury SB wiemy, z kim zamordowany utrzymywał kontakty cielesne. To ważne dane. Wiemy, że między jego partnerami występowała rywalizacja. Można wręcz założyć, że wrogość. TW wykorzystywali często tę rywalizację do prowokowania działań mających wpływ na postawę polityczną figuranta. Zazębia nam się tutaj wątek seksualny z ewentualnym wątkiem prowokacyjnym. Jeżeli przyjmiemy założenie towarzysza Kiszczaka, to możliwy jest taki scenariusz: grupa wroga polityce towarzysza ministra

wykorzystała kontakty oficerów prowadzących ze środowiskiem homoseksualistów. Obydwa wątki nam się zespalają.

- Za wyjątkiem powiązań z Babickim. Czy Babicki też ma teczkę? - Kostecki zapytał wprost.

- Gdyby istniała, od dawna byśmy ją mieli. Wiem od towarzysza Kiszczaka, że Babickim służby się nie interesowały. Żadne. To znaczy polskie.

- Ta całkowita rozbieżność w doborze ofiar wraz z wręcz matrycowym sposobem uśmiercania i hańbieniem zwłok budzi moje największe zainteresowanie - powiedział Kostecki.

- Jest coś jeszcze - Moczkowski podjął inny temat. - Kiszczak przysłał nam swojego prokuratora. Oczywiście formalnie... wiadomo, jak to jest. Towarzysz generał bardzo poważnie traktuje domniemaną prowokację. Boi się, że krąg wtajemniczonych może sięgać sędziów i prokuratorów. By zmniejszyć ewentualne ryzyko matactw, wybrał do prowadzenia sprawy młodego prokuratora. Facet ma dopiero trzydzieści lat. Jest spoza układów politycznych. Nikt z jego rodziny nie parał się do tej pory prawem. Rodzina nie ma powiązań z opozycją ani z aparatem bezpieczeństwa. Na uczelni dał się poznać jako wybitny student. Po skończeniu nauki brawurowo prowadził szereg trudnych spraw. Towarzysz Kiszczak ma nadzieję, że ten prokurator da mu gwarancję solidnie prowadzonego śledztwa. Gość nazywa się Paweł Jasiński, lubi rządzić gliniarzami. Apeluję o rozsądek i pokorę względem procedur. - Walenty Moczkowski ciężkim wzrokiem spojrzął na Tadeusza.

Rozdział 8

Następnego dnia na Lutomierskiej pojawił się młody prokurator. Paweł Jasiński był człowiekiem, o których Latynosi mówią, że mają bycze jaja. Jako absolwent dobrego łódzkiego liceum (imienia Bolesława Prusa) poszedł na warszawskie prawo. Tam wyrobił sobie reputację człowieka wybitnie rozwiniętego, jak na swój wiek, pod względem intelektualnym. Nie wybrał sugerowanej mu przez wielu adwokatury. Chciał zostać prokuratorem i konsekwentnie do tego dążył. Jego kariera nabrała tempa w okresie tak zwanej normalizacji. Wsadził za kratki kilka zorganizowanych grup przestępczych. Dla ekipy Jaruzelskiego, która musiała borykać się z gigantycznym wzrostem przestępczości, ktoś taki jak Jasiński był prawdziwym skarbem. Rządzącej juncie nie przeszkadzał fakt, że prokuratorska gwiazda miała swoje fochy. Jasiński potrafił obcesowo traktować nietykalnych w PRL milicjantów. Nie mając żadnych układów i układzików, rozbijał gangi i miażdżył adwokackie sławy. Jego sukcesy dostrzegły najważniejsze postaci władzy. O wsadzonych za kraty bandziorach pisały rządowe gazety i trąbił dziennik telewizyjny. Dla generała „spawacza” ważne było, że mógł do społeczeństwa wysłać sygnał, że radzi sobie z rozbestwionym światem przestępczym. Nic dziwnego, że gdy znaleziono w Łodzi pułkownika MO z drewnianym penisem w tyłku, w głowie Kiszczaka pojawiła się myśl, by sprawą zajął się właśnie Jasiński.

Paweł Jasiński był synem Stanisława, urodzonego w Łodzi inżyniera w fabryce im. Obronców Pokoju. Stanisław był synem Antoniego – rodowitego łódzianina, który przed wojną pracował jako urzędnik państwowy. Ten zaś, jako porządny Polak-katolik, chrzczony był w parafii pod wezwaniem świętego Józefa. Ojcem Antoniego był Dezydery – powstaniec styczniowy, ranny w bitwie pod Dobrą. Dezyderego spłodził Kajetan, który pracował w pierwszej łódzkiej fabryce jako pisarz fabryczny. Ojcem Kajetana był zaś Józef, który zasłynął z tego, że pod koniec osiemnastego wieku pobił jakiegoś szlachcica, co marksistowscy historycy uznali za pierwszy w dziejach Łodzi przejaw walki klasowej. Ojcem krewkiego Józefa był zaś Pankracy, który mieszkał w chałupie nad rzeczką Jasień. Od owej strugi ród wziął nazwisko Jasińscy. Ojciec Pankracego – Bonawentura – zasłynął tym, że był strażnikiem w łódzkim więzieniu, czyli

okazjonalnie pilnował więźniów w jedynym pomieszczeniu to tego służącym. Paweł Jasiński, syn Stanisława, był wielce dumny z faktu, że od dwudziestu pokoleń wszyscy Jasińscy rodzili się w mieście nad rzeką Łódką. Najbardziej był dumny z kuzyna swojej prababki, który na początku wieku strzelał bramki dla ŁKS-u. Jedynego zrzeszenia sportowego, które pan prokurator uważał za klub łódzki.

Milicjanci z ciekawością patrzyli na młodego prokuratora. Jasiński miał na sobie jasną sportową marynarkę, kupioną w pewexie, oraz koszulę z plastikowymi zatrzaskami. O takiej koszuli dla swojego męża, Mirosława Jabłoniaka, marzyła Danuta. Prokurator nosił białe adidas. Kostecki nie miał pojęcia, że strój Pawła Jasińskiego był hitem sezonu, choć podobne obuwie (rzecz jasna nie marki Adolfa Dasslera) widział na koncercie zespołu Dżem. Takie buty nosili wszyscy muzycy, z wyjątkiem wokalisty, który przypominał żula.

- Mamy trzy główne hipotezy - zaczął Jasiński. - Pierwszy wątek, najbardziej rzucający się w oczy: mordercą jest przedstawiciel środowiska gejowskiego, który z nieznanym nam przyczyn zamordował obu mężczyzn. Druga opcja: za śmiercią obu ludzi stoi nieznanym nam układ polityczny, którego celem jest działanie wymierzone w obecny rząd. Szczególnie postać profesora Karlickiego budzi moje poważne zainteresowanie. Trzeci nurt naszych rozważań to morderstwo dokonane przez psychopatę. Na tych trzech założeniach się skupimy w najbliższym czasie. Wątek pierwszy będzie badał porucznik Jabłoniak. Kwestię ewentualnego spisku - prowokacji - będzie analizował kapitan Banasik. Ostatnią hipotezę zbada porucznik Kostecki, z uwagi na bogate doświadczenie nabyte podczas pobytu w szpitalu dla osób chorych psychicznie.

Po wypowiedzeniu ostatnich słów Jasiński uśmiechnął się od ucha do ucha i beczelnie spojrzął na Kosteckiego.

- Ale oprócz tych trzech wątków - ciągnął prokurator - jest jeszcze jedna sprawa. Właściwie dwie sprawy. Natychmiast po przejęciu śledztwa przez odpowiednie władze zacząłem robić kwerendę. Szukałem informacji o podobnych przypadkach. Otóż w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku miała miejsce podobna sprawa. Jeden facet z Piły zamordował kochankę swojej dziewczyny. Po zabójstwie wbił mu w odbył drewnianą podobiznę członka. Aż dziw, że nie skończyło się karą śmierci. Ale sąd przychylił się do zdania obrony i skazał tego gościa na piętnaście lat pozbawienia wolności. W momencie popełnienia zbrodni miał siedemnaście lat. Delikwent kiblował we Wronkach. Wyszedł pod koniec kwietnia. Jego

była dziewczyna od kilku lat mieszka w Łodzi. Ten wątek koniecznie trzeba sprawdzić. Ta dziewczyna, teraz dojrzała kobieta, mieszka na Jaracza. Jaracza 5 mieszkania 7. Trzeba natychmiast udać się do niej. Być może jej były chłopak próbował się kontaktować. Być może nasza sprawa łączy się z wydarzeniami sprzed piętnastu lat. Na Jaracza pojedzie porucznik Kostecki z kapralem Nitrzańskim. Aha, jeszcze jedno. Jeżeli zajdzie potrzeba, SB musi, powtarzam: musi udostępnić wszelkie dotyczące sprawy materiały. Dotyczy to nie tylko zabitego profesora, ale także jego brata, który w nurcie opozycji jest od marca sześćdziesiątego ósmego. Nie możemy wykluczyć, że zabójstw dokonuje ktoś z kręgów opozycji. Jest to dla mnie mało prawdopodobne, jednak możliwe. Ten wątek jest hipotezą numer pięć.

Kostecki z Nitrzańskim natychmiast udali się pod wskazany przez prokuratora adres. Kapral służył w łódzkiej milicji od niedawna. Co nie znaczy, że nie miał doświadczenia. Wręcz przeciwnie. Przez dwa lata był zomowcem w Katowicach i gruntownie poznał specyfikę pracy milicjanta.

Weszli po schodach na drugie piętro kamienicy. Kostecki zadryndał dzwonkiem jak przystało na absolwenta elitarniej szkoły w Szczytnie. Nitrzański nie miał matury i po swoim zakomunikował, że do mieszkania numer siedem przyszli ludzie z MO, łomocząc potężnymi pięściami w solidne drzwi. Nikt jednak nie otworzył. Gdy już mieli odchodzić, otworzyły się drzwi sąsiedniego lokalu.

- Nie ma pani Haliny - poinformowała starsza pani przez szparę w drzwiach.

- A kiedy będzie? Jesteśmy z milicji - Kostecki sięgnął po legitymację.

- Powinna być dziś. Była w sanatorium i dzisiaj wraca. Tak powiedziała, gdy do mnie dzwoniła parę dni temu. Przyjaźnimy się.

- Możemy wejść? - zapytał porucznik.

Kobieta popatrzyła uważnie na legitymację i wpuściła ich do środka. Weszli. Lokal składał się z dwóch izb. W pierwszej dominowały akcesoria bokerskie. Figurki bokserów, małe gumowe rękawiczki, proporczyki i dyplomy. Baczemu spojrzeniu Kosteckiego nie umknął też brząz kilku medali.

- Mój mąż był bokserem - powiedziała kobieta.

Milicjanci usiedli. Kobieta zaproponowała herbatę. Odmówili.

- Chcemy zadać kilka pytań - powiedział Tadeusz.

- Powiem wszystko, co wiem, ale chyba nie będą panowie pytać o Halinę. To porządna kobieta.

- Czy podczas nieobecności sąsiadki ktoś o nią pytał? Jakiś mężczyzna. Wiek trzydzieści, czterdzieści lat. Szczupły i raczej niski.

- Tak. Był taki jeden.

- Kiedy?

- Nie pamiętam dokładnie. Kilka dni temu. Może kilkanaście... Na pewno było to niedawno. Gdy Halina była w sanatorium.

- Powiedziała mu pani, kiedy sąsiadka wraca?

- Nie pamiętam. Wypytywał o Halinę. Mówił, że jest jej kuzynem z Piły. Ona rzeczywiście pochodzi z Piły. Być może mogłam coś chlapnąć.

- Czy widziała go pani jeszcze kiedyś? Kręcił się w pobliżu?

- Nie. Nie widziałam go. To jakiś bandzior?

- Tego nie wiemy. Po prostu pytamy.

Gdy wyszli z kamienicy, Kostecki oznajmił:

- Widzimy się o dwudziestą. Weź broń. Ta ulica jest dość spokojna, ale niedaleko stąd do Włókienniczej i Wschodniej. A tam lepiej się nie pokazywać bez broni. Nawet w dzień.

- Tak jest - Nitrzański wyprężył się służbiście.

Spotkali się o dwudziestą. Szarzało już, bo dzień był dżdżysty. Ulice opustoszały. Ten rejon Łodzi zamierał dosyć wcześnie. Kto tu nie mieszkał, starał się w pobliżu „Włókniaka” nie przebywać. Ulica miała złą renomę. Pobliska Wschodnia również.

- Pali się u niej światło - powiedział porucznik.

Kapral skinął głową.

- Idziemy - zakomenderował Kostecki.

Pukanie i dzwonienie do drzwi nic nie dało. Sąsiadka potwierdziła, że kobieta wróciła z sanatorium.

- Może wyszła do sklepu - rezolutnie wyjaśniła fakt, że w domu paliło się światło przy jednoczesnej absencji Haliny. Milicjanci pokiwali głowami i wyszli przed kamienicę. Zapalili. Kostecki nie lubił zomowców. Zresztą mało kto ich lubił. Gdy wypalili, Tadeusz zagaił:

- Na ochotnika poszłście do ZOMO? Macie w rodzinie milicjanta?

- Niezupełnie, obywatelu poruczniku.

- Jak to niezupełnie? Przecież nie ma poboru do ZOMO.

Nitrzański podrapał się po głowie i niechętnie powiedział:

- Przypierdoliłem takiemu jednemu na zabawie i mnie zgarnęli. Ja tego chuja prawie zabiłem, ale on mnie dziabnął nożem w rękę. Miałem wybór: albo pudło, albo ZOMO. Wybrałem to drugie. Nie żałuję. Dobra szkoła życia. Tak mi się spodobało, że poszedłem na zawodowego. Matury nie mam, ale zdam ją w CKU. Gdy mnie capnęli, byłem tuż przed egzaminami.

- Dlaczego Łódź?

- Szansa na mieszkanie. Na razie wynajmuję, ale mam przybiecane, że za dwa lata dostanę.

Kostecki wyciągnął paczkę cameli i poczęstował kaprała. Znowu zakurzyli. Szarość wieczoru przepoczwarzyła się w mrok. Rozpadało się na dobre. Ulica wyglądała, jakby anioł śmierci poszatkował ją mieczem. Deszcz zamienił się w ulewę. Z oddali dochodziły grzmoty. Schowali się do służbowego auta. Kobieta nie wracała ze sklepu. Za to burza przybyła z zachodnich połaci miasta i zawisła nad centrum. Gdy zrobiła się dziewiąta wieczorem, Kostecki dostrzegł wychodzącego z bramy mężczyznę. Porucznik natychmiast wyskoczył z auta.

- Milicja! - zawołał.

W blasku pioruna mignął błysk noża. Porucznik nie zastanawiał się. Pistolet P-64 wypalił. Mężczyzna klapnął w ogromną kałużę.

- Kurwa - jęknął Kostecki.

Gdy podeszli do ciała, zobaczyli, że zabity nie trzymał noża, tylko srebrną łopatkę do ciasta.

- Abraham Rozenblum - przeczytał kaprał - jest też wryta data: tysiąc osiemset siedemdziesiąty trzeci.

Kostecki zaczął się trząść. Ręce mu tak dygotały, że kaprał natychmiast zszedł z linii ewentualnego strzału. Były zomowiec wykazywał zdecydowanie więcej spokoju. Nitrzański kucnął przy zwłokach i podwinął sobie nogawkę spodni. Tadeusz zobaczył specjalną kaburę zamontowaną na łydce. Młodszy szarżą stróż prawa wyciągnął z kabury pistolet nazywany tetetką i włożył ją w martwą dłoń leżącego człowieka. Srebrną łopatkę do ciasta z bólem serca wrzucił do studzienki kanalizacyjnej.

- Na nasze wezwanie osobnik sięgnął po broń i skierował ją w stronę milicjantów. Porucznik Kostecki najpierw krzyknął: „rzuć broń, milicja”. Gdy osobnik wycelował z pistoletu marki TT, funkcjonariusz w obronie własnej wystrzelił i trafił atakującego prosto w serce. Podpisano kaprał Nitrzański.

Kostecki nie wiedział, co powiedzieć. Wszystko przypominało koszmar senny. Tymczasem Nitrzański kontynuował:

- Przecież ten prokurotek chuja by obywatelowi porucznikowi urwał. Od razu było widać, że za obywatelem porucznikiem nie przepada. Taki typ.

- Skąd miałeś tę tetetkę?

- W tygrysach służyłem.

- No i co? Jednostki specjalne mają starą ruską broń na wyposażeniu? Nierejestrowaną na dodatek.

- Rok temu pierdolnąłem takiego jednego pedofila. Zabił dziewczynkę. Pies po śladach doszedł skurwiela. Był leśniczym, miał sztucer, zaczął do nas pruć. Trafił mi kumpla. Ja go załatwiłem z raka. Z łba została miazga na ścianie. Na szczęście mieliśmy starego prokuratora. Takiego, co to zaczynał jeszcze za Bieruta. Sam nam powiedział, że takiego popaprańca najlepiej załatwić od razu. To on mi zasugerował, bym miał jakiego starego gnata na wyposażeniu, bo się może przydać. Traf chciał, że parę tygodni później robiliśmy rewizję i tam wpadła mi w ręce ta tetetka. Pomyślałem, że zrobię tak, jak ten stary prokurator radził. Byłem już zdecydowany, że zostaję na zawodowego. Wziąłem. Teraz się przydała.

Kostecki odetchnął. Deszcz lał coraz mocniej. Pioruny huczały wokół. Weszli do radiowozu i wezwali wsparcie. Po kwadransie przyjechał Banasik z kilkunastoma funkcjonariuszami. Pięć minut później zjawiła się karetka. W tym samym czasie podjechał samochód prokuratora Jasińskiego. Lekarz stwierdził zgon trafionego kulą mężczyzny. Kapral Nitrzański opowiedział pokrótce swoją wersję wydarzeń. W ręku prokuratora mignął mokry dowód osobisty zabitego.

- To on - stwierdził Jasiński. - Jan Szuster z Piły. To ten, co w siedemdziesiątym dostał piętnaście lat. Idziemy.

Po chwili funkcjonariusze weszli do lokalu numer siedem. Kostecki był tak zdenerwowany, że nie dał rady zwymiotować. Zrobił to za niego porucznik Jabłoniak. W mieszkaniu leżała zmasakrowana kobieta. Miała zakneblowane usta. Ciało było pocięte nożem, Rany posypane solą. Całą podłogę zachlapała krew.

- Musimy ustalić, czy zamordowani mężczyźni znali tę nieszczęsną kobietę - wycedził ze stoickim spokojem prokurator.

Do pomieszczenia weszli technicy, fotograf i patolog. Kostecki z ulgą wyszedł na dwór.

- Zapraszam jutro do prokuratury na złożenie i podpisanie zeznań - rzucił jeszcze Jasiński.

Tadeusz ruszył w stronę Kaskady, wykwintnego lokalu, w którym do późnej pory można było napić się wódki. Po kilku krokach dogonił go kapral.

- Można? - zapytał.

Kostecki kiwnął głową. Po kilkunastu minutach znaleźli się w lokalu. Deszcz przestał lać. Ubrania schły powoli. Pierwszą flaszkę rozpił w ciszy. Gdy alkohol zaczął krążyć w żyłach, kapral zapytał:

- To pierwszy?

- Nie. Kilka miesięcy temu był pierwszy. Ale to była obrona własna. I dużo było przypadku. Facet wpadł do starego szybu.

- Na Śląsku?

- Nie. W górach.

- W górach?

- Stara kopalnia srebra. W Pieninach.

- Aha.

- Jestem wam coś winien, kapralu...

- Drobiazg. My, gliniarze, musimy trzymać się razem.

- Może skończymy z tytułami.

- Janek.

Kostecki wstał, wyściskał kaprala i wystękał:

- Tadek.

Kelnerka przyniosła drugą butelkę. Kapral zaczął opowiadać.

- Nie chciałem iść do ZOMO, ale nie miałem wyboru. Tak jak już ci mówiłem, byłem na zabawie. Pod Łęczycą. Była taka jedna fajna, cycata, no to ja do niej, a tu taki jeden do mnie, żebym się odpierdolił. No to ja do niego, chodź na solówkę. A on z nożem na mnie. W rękę mnie dziabnął. No to ja mu w ryj. Karate kilka lat trenowałem. O mały włos go nie zabiłem. Ale milicja już przyjechała. Zgarnęli mnie. Nie lada strachu się najadłem. Dali mi wybór: albo ZOMO, albo pierdel. Wybrałem ZOMO.

- A te tygrysy?

- Dostyc szybko zauważyli, że się dobrze napierdalam. Wzięli mnie po kilku miesiącach. Sporo się nauczyłem. No i postanowiłem pójść na zawodowego.

Wypili drugą butelkę. O drugiej w nocy Kostecki pojechał taksówką do domu. Rano stanął się przed prokuratorem i złożył zeznania. Gdy je podpisywał, Jasiński oznajmił:

- To nie on. To nie ten Szuster zamordował Karlickiego i tego emerytowanego milicjanta z drogówki. Przyszedł dziś meldunek z Poznania. Trzydziestego kwietnia ten cały Szuster został zgarnięty na dworcu i zawieszony do izby wytrzeźwień. Nie mógł być w tym czasie w Łodzi i zamordować Babickiego. W dniu, w którym zabito Karlickiego, został spisany przez milicję w Pile, za picie alkoholu w miejscu publicznym. Funkcjonariusze wypisali wniosek do kolegium. Szukamy dalej.

Rozdział 9

Po podpisaniu zeznania w prokuraturze Kostecki wrócił na Lutomiorską. Kapitan SB, Jarosław Bogdański, już czekał ze stertą teczek. Po kilku zdaniach na temat pogody przeszli do sedna sprawy.

- Brat Karlickiego, Andrzej, ma u nas bardzo bogatą kartotekę. Pierwsze informacje o jego antypaństwowej działalności sięgają Marca. Potem działał w Ruchu. Do KOR-u podszedł sceptycznie. Wybrał ROPCIO. Internowany. Po wyjściu z internatu przycichł, ale oczywiście jest aktywny dalej.

- Jego brat?

- Z uwagi na to, że profesor Karlicki mieszkał w Warszawie, jego teczkę ma centrala. Ale często bywał u brata, więc coś niecoś też o nim wiemy.

Kostecki popatrzył na esbeka. Był kilka lat starszy. Miał na sobie niebieską koszulkę reprezentacji Francji. Tadek nie miał wątpliwości, że trykot le coq sportif był identyczny z tym, który rok temu widział w telewizji na plecach Platiniego. Markowe adidas zostały daleko w tyle sofiksy Jasińskiego. Między nimi a chodakami Tadka były lata świetlne. Oficerowie SB zarabiali dobrze. O wiele lepiej niż milicjanci.

- Co o nim wiecie? - zapytał porucznik.

- Coś, co może mieć związek z morderstwem. Otóż, jak wiadomo, Karlicki był zdeklarowanym homoseksualistą. Miewał liczne romanse. O szczegółach będzie można poczytać w teczce, która lada dzień przyjedzie z Warszawy. Nasza wiedza to raptem okruchy, ale dosyć ciekawe. Dzięki podsłuchowi w mieszkaniu Andrzeja Karlickiego oraz pracy osobowych źródeł informacji wiemy, że profesor miał w szeregach łódzkiej opozycji wielu krytyków, by nie rzec wrogów.

- Niechęć do pederasty?

- I tak, i nie. Bezpośrednio nie. Pośrednio tak. Już tłumaczę. Otóż mniej więcej po zniesieniu stanu wojennego w szeregach łódzkiej opozycji zaczęła się dyskusja o tym, jakimi metodami prowadzić dalszą walkę. Jakie treści poruszać, gdzie szukać zaplecza politycznego. Profesor, czyli starszy z braci Karlickich, sugerował, a nawet się domagał większej otwartości na młodzież. To jest nie lada problem. Młodzież. I dla nich, i dla nas.

Esbek wstał z krzesła. Podszedł do okna i wyciągnął paczkę dunhillów. Gdy Tadek odmówił i sięgnął po swoje camele, kapitan zapalił. Mocno się zaciągnął i mówił dalej.

- To nas łączy. I my, i oni nie mają pomysłu na to, jak dogadać się z młodymi. Oni oferują mieszanekę bogoojczyźnianą. To nie działa. Wcale, albo prawie wcale. Ale przejdźmy do meritum. Karlicki stał na stanowisku, że należy na łódzkim gruncie reaktywować pismo „Puls”. Słyszeliście o „Pulsie”? Czy wolicie burżuazyjną formę „pan”?

- Wolę burżuazyjną formę. O „Pulsie” nie słyszałem.

- To było jedno z najważniejszych pism podziemnych. Nie tylko na gruncie łódzkim. Zaczęli je wydawać jeszcze w ubiegłej dekadzie. Najważniejszymi ludźmi w redakcji byli Jacek Berezin oraz Witold Sułkowski. Powiem szczerze, godni rywale. Znałem ich ze studiów. Diabło zdolni faceci. Otwarci na poglądy innych. Krytyczni wobec bogoojczyźnianych. W roku osiemdziesiątym trzecim zaczęto rozważać reaktywację pisma. Berezin i Sułkowski zgadzali się z Karlickim. Uważali, że należy wyjść do młodych. Pisać o klęsce ekologicznej i innych sprawach nurtujących młodzież. W tym o problemie służby wojskowej.

- No i co? Jaki to może mieć związek z morderstwem?

- Problem ludowego Wojska Polskiego jest u nich w opozycji swoistym tabu. Ciekawe. W całej publicystyce opozycyjnej nie kojarzę żadnego tekstu krytycznego w stosunku do wojska. Niepojęte, ale uderzając w milicję, nie krytykują wojska. O SB nie wspomnę. Wszyscy jesteście mordercami. Chyba tylko ZOMO jest gorzej przedstawiane. Z naszych informacji wynika, że nie ma w tym przypadku. Co ciekawe, w społeczeństwie wojsko cieszy się ogromnym autorytetem. Paradoksalnie za zło stanu wojennego obwiniana jest milicja. Nie wojsko. Nasze badania socjologiczne mówią to samo. Największym zaufaniem społecznym cieszy się wojsko i Kościół. Zdumiewającą rzeczą jest to, że partii ufa niespełna dwadzieścia procent społeczeństwa, zaś Jaruzelskiemu ponad sześćdziesiąt! To się nazywa siła munduru! Oni mają swoich socjologów. Powiem panu w zaufaniu, że ich wyniki badań socjologicznych pokrywają się z naszymi. Bardzo niewielkie różnice. Mając takie badania w rękę i chcąc zdobyć rząd dusz, czy choćby większy wpływ na społeczeństwo, Michniki i Kuronie odzęgują się od krytyki wojska. Macierewicz zaproponował nawet pewnego rodzaju sojusz wojska i Kościoła. Prawdziwy obraz ludowego wojska jest nieco inny od tego, który żyje w społecznym wyobrażeniu. Czytałem raporty. Dramat. Pełna demoralizacja.

W jednostkach rządzi tak zwane stare wojsko. Fala wyżywa się na młodych, czyli kotach. Samobójstwa, pobicia, terror psychiczny, okaleczenia wśród młodych są na porządku dziennym. Jeżeli mówimy, że wojsko wychowuje, to wychowuje psychopatów. A raczej tresuje. To chyba lepsze określenie. Ten stan trwa już od ponad dwudziestu, może nawet trzydziestu lat i prawie nikt o tym nie napisał. Panuje swoistego rodzaju zmowa milczenia. Po prostu w pismach opozycyjnych o wojsku się nie pisze lub pisze się dobrze. Identycznie ma się sprawa z Kościołem.

- Zastanawiające.

- Bardzo. O ile sojusz z klechami jest oczywisty, to niechęć do uderzania w wojsko jest zastanawiająca.

- Przecież wojsko to fundament państwa.

- Trafił pan w sedno. O to chodzi. Opozycja szykuje się do przejęcia władzy. Obaj wiemy, że realny socjalizm długo nie pociągnie. Pięć? Góra dziesięć lat. Albo dojdzie do rewolucji, albo opozycja z rządem się dogadają. Tak czy inaczej wojsko trzeba mieć po swojej stronie. Lub przynajmniej musi być ono neutralne. To prosta logika. Do woja idą wszyscy. Idą, bo muszą. Do milicji ludzie idą, bo chcą. Dlatego to my jesteśmy obiektem ataku. Oni nie są głupi i nie będą uderzać w taką instytucję jak wojsko. I tu przechodzimy do sedna naszej sprawy. W osiemdziesiątym drugim i trzecim Karlicki przygruchał sobie takiego jednego, co to właśnie z wojska wyszedł. Ten jego kochanek chciał popełnić samobójstwo w jednostce. Nie wytrzymał szykan tak zwanych dziadków. Odratowali go. Poszedł do psychiatryka. Profesor bardzo się przejął. To był powód, dla którego Karlicki tak bardzo się zaangażował w lansowanie nowej wizji „Pulsu”. Wyglądało na to, że przeforsuje swoje koncepcje, gdyż Bierezin i Sułkowski mu sprzyjali. Ale obaj dostali paszporty i wyemigrowali. W przeciwieństwie do rywali Karlickiego. Nie ukrywam, że w ramach działań operacyjnych podgrzewaliśmy ten spór o kształt nowego pisma. Nasi ludzie wyolbrzymiali różnice. Dyskretnie podsycali rozbieżności. Nie zmienia to jednak faktu, że owe rozbieżności istniały.

- Myśli pan, że załatwił go ktoś z przeciwników wewnątrz opozycji?

- Jest to prawdopodobne. Mamy zapisy podsłuchów, informacje od tajnych współpracowników i osobowych źródeł informacji. To wszystko jest w tych teczkach. Jak człowiek się czyta, wsłucha...

- Ciekawa koncepcja.

- Nasza praca jest ciekawa.

- To na pewno. Od kiedy w służbie? Od sześćdziesiątego ósmego?

- Nie. Później. W sześćdziesiątym ósmym zazdrościłem tym, którzy wtedy dokazywali. Pochodzę z małej wsi pod Łęczycą. Mam ośmioro rodzeństwa. Jestem jedynym po studiach. Rodzice zaciskali pasa, bym skończył wyższą uczelnię. Bracia i siostry pomagali. Pamiętam, że na pierwszym roku studiów miałem garnitur, który odziedziczyłem po najstarszym bracie. On jest dwanaście lat starszy. Koledzy się ze mnie śmiali i nazywali „po dziadku”. Taką miałem ksywkę. Gdybym wtedy się zaangażował, toby mnie relegowali z uczelni. Mojej matce by serce pękło. Po prostu nie mogłem.

- Władza doceniła lojalność?

- Nie. Zgłosili się zaraz po mundialu w Niemczech. Obserwowali mnie pięć lat. Gdy z wyróżnieniem skończyłem polonistykę i poszedłem na prawo, zaproponowali pracę. Opłacało się. Bez żalu pożegnałem się ze szkolnictwem.

Kostecki pokiwał głową. Zabrawszy kserokopie przygotowanych dokumentów, pożegnał kapitana. Lektura okazała się tak ciekawa, że Kostecki skończył czytać o siódmej rano. Wziął prysznic, a potem zadzwonił do Jasińskiego. Ten natychmiast kazał porucznikowi stawić się w gmachu prokuratury. Od ósmej do dziewiątej Tadeusz opowiadał o tym, co zwróciło jego uwagę. Gdy skończył, Jasiński wypełnił odpowiedni formularz, a Kostecki zatelefonował na Lutomierską. Na Nitrzańskiego czekał raptem kwadrans. Kolejne piętnaście minut zajęło Tadeuszowi dotarcie na ulicę Astronautów. Radiowóz zatrzymał się przed pewexem. Cinkciarze natychmiast wyparowali. Zostali chłopcy, którzy łąpczywie rzucili się na puszki z bulgoczącymi w środku resztkami zachodniego piwa. Młodzieńcy namiętnie wączali opary lepszego świata. Oczami wyobraźni przenosili się na planetę, po której wolni ludzie stąpali w markowych butach. Kolorowe puszki były cenną walutą, za którą młodzieńcy nabywali zdjęcia nagich pańienek, plakaty piłkarzy i rozpuszczalne gummy do żucia. Na ich planecie dominowała dojmująca szarość. Milicjanci nie wykazali zainteresowania enklawą dobrobytu. Poszli do położonego naprzeciwko bloku. Wojciech Hemplowski wynosił właśnie śmieci, gdy Kostecki pokazał mu nakaz prokuratora. Nitrzański zatrzasnął na rękach aresztowanego kajdanki. W drodze do prokuratury Hemplowski milczał. Tak samo zachowywali się milicjanci. Cicha pozwalała Hemplowskiemu na rajd po wspomnieniach. Pierwszy raz podpadł jeszcze w latach sześćdziesiątych. Podczas jednego ze studenckich rajdów zaproponował, by w szczególny sposób uczcić dzień urodzin Lenina. Wyciągnął z plecaka gipsowe popiersie wodza rewolucji

i zaczął je namiętnie całować. Za jego przykładem poszli inni. Śmiechu było co niemiara. Najgłośniej śmiali się ci z rajdowiczów, którzy dwa dni później o dowcipie Hemplowskiego opowiadali swoim oficerom prowadzącym. Kara dla żartownisia nie była dotkliwa. Sąd koleżeński wyrzucił go ze Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów Polskich. Jednak bezpieka założyła mu teczkę, do której często trafiały różne materiały operacyjne; zdjęcia, donosy, raporty, notatki i inne wytwory służb. Teczka puchła, bo krnąbrny artysta plastik najpierw skumał się z organizacją o nazwie Ruch, potem został kurierem Komitetu Obrony Robotników. Zajmował się kolportażem bibuły, załatwianiem ryz papieru potrzebnego do drukowania „Pulsu”. Konstruował różne poligraficzne bomby. Przemycił z Paryża bębnowy powielacz białkowy. Tworzył „Śpiewnik Warchoła”. Rozrzucił ulotki. Opracował metodę komponowania farby do sitodruku robionej z pasty Komfort, wody, łyżki farby drukarskiej i benzyny lakowej. Miksturę mieszał w mikserze. Był bliskim współpracownikiem Jacka Berezina i Witolda Sułkowskiego. Obaj wieszczowie łódzkiej opozycji lubili go nie tylko ze względu na wspólne poglądy, ale także za przywożony regularnie ze wsi bimber. Kilkanaście razy był zwiżany na czterdzieści osiem godzin. Kilka razy pobili go nieznanymi sprawcy. W stanie wojennym był internowany. Słowem pan Wojciech był rebeliantem pełną gębą.

W gabinecie Jasińskiego opozycjonista został rozkuty. Prokurator z miejsca przeszedł do sedna.

- Gdzie pan był ostatniej niedzieli między dwunastą a szesnastą godziną?

- Byłem w domu.

- Ktoś to może potwierdzić?

- Nie.

Jasiński wyciągnął z teczki odpowiednią stronę i zaczął czytać.

- Raport tajnego współpracownika z listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, pseudonim Wacek. W dniu dziesiątego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego figurant Hemplowski Wojciech, syn Alojzego, podczas libacji alkoholowej urządzonej w wigilię dawnego, sanacyjnego święta, będąc pod wpływem alkoholu, chwycił profesora Karlickiego za marynarkę i zaczął krzyżeć: jeżeli ten twój kochaś nie przestanie się do mnie dobierać, to obiecuję, że cię, kurwa, zajebię, a potem drewnianego chuja w dupę ci wsadzę.

W gabinecie prokuratora zapadła taka cisza, że słyhać było stukot serc.

- Chce pan coś powiedzieć? - zapytał Jasiński.

- Panowie, to były takie żarty. Ja Karlickiego bardzo lubiłem. To był wykształcony i odczytany facet. Uwielbiałem z nim gadać o literaturze. Z Berezinem i Sułkowskim morze gorzały wyłopaliliśmy. Tak tylko się z nim droczyłem. Dla zgrywy. Tak po wódce, dla jaj.

W odpowiedzi Jasiński rzucił na stół zdjęcia zamordowanego profesora. Hemplowski trzymał się za głowę.

- Ma pan specyficzne poczucie humoru. Niczym Wernyhora.

Opozycjonista ukrył twarz w rękach. W takiej pozycji wysłuchał odpowiedniej formuлки wypowiedzianej przez prokuratora. Gdy Jasiński zamilkł, kapral Nitrzański zawiózł Hemplowskiego do aresztu. W gabinecie prokuratora zostali we dwóch.

- Co pan na to, poruczniku?

Kostecki masował skronie.

- Nie wiem. Trudno mi coś powiedzieć. Ten materiał z teczki jest mocny. Bardzo mocny. Ale co z Babickim? Hemplowski to rocznik tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty. Babicki wyjechał z Łodzi, gdy Hemplowski był berbeciem. W teczce nie ma słowa o tym, że znał Babickiego.

- Być może nie ma związku między zabójstwami. Jest to trochę dziwne, ale prawdopodobne, szczególnie w świetle zebranego materiału dowodowego.

- Co z tym drugim?

- Zwijamy go. Jutro z Nitrzańskim pojedziecie po niego rano. Od przybytku głowa nie boli. Niech pan wraca na Lutomiarską, muszę zająć się dokumentacją.

Rozdział 10

Stefan Opoka-Opoczyński nie zdziwił się, gdy rano wparowali do niego milicjanci z prokuratorskim nakazem aresztowania. Był przyzwyczajony. Po raz pierwszy poszedł siedzieć za działalność w organizacji Ruch. Potem, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, był permanentnie zwijany na czterdzieści osiem godzin. W stanie wojennym był aresztowany. Wyszedł na mocy amnestii. Po wyjściu z mamra kontynuował opozycyjną działalność. Dlatego się nie zdziwił, gdy Kostecki pokazał mu papier prokuratora. Natomiast zadawał sobie pytanie, dlaczego nie było esbeków? Na to pytanie odpowiedział mu osobiście prokurator Jasiński. Musiały minąć długie minuty, nim do świadomości opozycjonisty dotarł fakt, że w prokuraturze znalazł się z przyczyn niemających wiele wspólnego z polityką.

- Co pan robił w ostatnią niedzielę w godzinach od dwunastej do szesnastej?

- Byłem w domu.

- Ktoś to może potwierdzić?

- Nie. Żona wyjechała do rodziny. Byłem sam.

Jasiński rzucił na blat zdjęcia zrobione przez milicyjnych techników. Przedstawiały sprofanowane zwłoki profesora Karlickiego. Po chwili prokurator otworzył teczkę i wyciągnął odpowiednie kartki.

- Nie lubił pan profesora Karlickiego. Prawda?

Opoka-Opoczyński przeglądał zdjęcia i przelykał gorączkowo ślinę. Ręce mu się trzęsły. Głośno sapał, jakby brakowało mu tlenu. Jasiński wziął do ręki pierwszą kartkę i zaczął mówić.

- Rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy. Tajny współpracownik SB, kryptonim Wieniawa, napisał: szczególną niechęć, by nie rzec wrogość, figurant przejawia wobec zamieszkałego w Warszawie profesora Karlickiego. Karlicki budzi niechęć figuranta ze względu na swoją orientację seksualną. Figurant wielokrotnie wyrażał się o Karlickim z pogardą. Kilka razy wydał osąd, że Hitler dobrze robił, zabijając homoseksualistów. Figurant twierdził, że wszyscy homoseksualiści są

żydowskim wytworem, który należy tępić. Kiedyś wyraził się, że temu staremu pedałowowi należy wsadzić w dupę rozżarzony pręt.

W gabinecie słychać było tylko szum wiatraczka. Jasiński wyjmował następne kartki. Tajni współpracownicy się zmieniali. Jednak każdy z nich zwracał uwagę na homofobię figuranta. Niechęć do mniejszości seksualnych towarzyszyła Opoce-Opczyńskiemu podczas działania w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i gdy był ekspertem Solidarności.

- Ja byłem wtedy w hotelu Centrum - wyszeptał opozycjonista.

- Cały dzień?

- Tak.

Twarz jurnego Stefana była trupio blada. Kostecki pomyślał, że odkąd go zgarnęli przybyło siwych nitek w czuprynie Opoki.

- To akurat będzie łatwe do weryfikacji - powiedział prokurator.

Gdy szeregowy funkcjonariusz wyprowadził nieszczęśnika na korytarz, Jasiński rzekł krótko:

- Trzeba to sprawdzić.

Kostecki zabrał się do wyjścia. Gdy Opoka-Opczyński wspominał zbieranie podpisów pod petycją wzywającą władze do tego, by ulicę Obronców Stalingradu zmienić na Jedenastego Listopada, Tadeusz wychodził na ulicę. Opozycjonista przypomniał sobie, że petycję podpisało pięciu mieszkańców miasta. Podróż do łódzkiego hotelu Centrum zajęła Kosteckiemu kilka minut. Porucznik od razu udał się do osoby, która wiedziała o wszystkim, co działo się w hotelu. Tajemnicą poliszynela było, że szatniarz - pan Mareczek - był hojnie opłacanym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa oraz Milicji Obywatelskiej. Kostecki go dobrze znał, gdyż dzięki informacjom pana Mareczka udało się rozwikłać niejedną zagadkę kryminalną.

- Tak. Był tu - potwierdził szatniarz, gdy porucznik pokazał mu zdjęcie opozycjonisty.

- Na pewno? Między dwunastą a szesnastą?

- A co? Miałoby go nie być? Jak sobie obywatel porucznik życzy.

- Masz mówić, jak było!

- Tedy mówię. On tu bywa często. Jakiś zamożny gość, bo ruchu najlepsze dziwki. Z reguły bywa właśnie w niedziele. Jest bardzo regularny. Przychodzi wpół do dwunastej i wychodzi około szesnastej trzydzieści. Nawet pokój ma z reguły ten sam.

- Płaci złotówkami?

- Nie wiem.

Kostecki uśmiechnął się od ucha do ucha. Wszyscy wiedzieli, że szatniarz był pośrednikiem między prostytutkami a obyczajówką. Za pośrednictwo brał solidną dolę. To powodowało, że wraz z poborami z funduszu operacyjnego MSW oraz oficjalną pensją szatniarza był wielce zamożnym człowiekiem. Tak zamożnym, że weekendowe napiwki od podchmielonych klientów przeznaczał na prezenty dla wnuczków. Zarobione pieniądze inwestował w szklarnie, położone na obrzeżach miasta.

- Facet nie kłamie - powiedział Kostecki po powrocie z hotelu Centrum.

- No to musimy go puścić. Zostaje Hemplowski. On nie ma alibi.

Tadeusz wyszedł na korytarz, gdzie cały czas siedział nieszczęsny Opoka.

- Jest pan wolny - rzucił krótko.

Opozycjonista siedział jakby się przykleił do siedziska. Dopiero gdy Kostecki odezwał się głośniejszym głosem, działacz podziemnej Solidarności wstał i bez pożegnania udał się do wyjścia. Kostecki wrócił do gabinetu. Jasiński rozmawiał z kimś przez telefon. Gdy odłożył słuchawkę, rzekł do Tadeusza:

- Hemplowskiego też musimy puścić. W niedzielę wcale nie siedział w domu, tylko był, razem z Palką, w Warszawie. Wiemy, że spotkał się z Mazowieckim. Rozmawiali o niedawnym aresztowaniu Kuronia. Wszystko jest dobrze udokumentowane przez SB.

- Zaryzykował karę śmierci, by nie wydać, z kim był i o czym rozmawiał.

- Ideowiec. Jak na ironię alibi załatwili mu esbecy - po wypowiedzeniu tych słów Jasiński roześmiał się głośno.

- A co ze śledztwem? - zapytał porucznik.

- To, że Hemplowski i Opoka-Opoczyński mają alibi wcale nie znaczy, że odpuszczamy ten trop. Jutro przychodzi na przesłuchanie brat profesora. Może wie o czymś, czego nie wiedzieli esbecy. Może ktoś jeszcze groził Karlickiemu? Ktoś, kogo nie wyhaczył żaden tewu? Może ten trop wcale nie jest fałszywy?

Następnego dnia w komendzie na Lutomierskiej pojawił się brat profesora Karlickiego. Andrzej Karlicki był w konflikcie z PRL od Marcza. W więzieniach spędził kilka lat. Trudy pobytu w miejscach odosobnienia odcisnęły piętno na twarzy przesłuchiwanego. Po raz pierwszy podpadł w Marcu. Ale wtedy jeszcze go nie aresztowano. Do pułda poszedł dwa lata

później. W Łodzi powstała organizacja opozycyjna. Działała w konspiracji, zakładała walkę o niepodległą Polskę. Dla komunistów taka organizacja w Łodzi, w sercu proletariackiej ojczyzny, była poważnym wyzwaniem. Fala aresztowań rozlała się szeroko. Pochłonęła nie tylko liderów, to jest braci Czumów i Stefana Niesiołowskiego, ale także tych, którzy organizacji kibicowali lub tylko z nią sympatyzowali. Nazwę organizacji nadali sami esbecy. Do historii przeszła jako Ruch. Andrzej Karlicki dostał pół roku, które sumiennie odsiedział. Po wyjściu z więzienia miał się różnych prac. Z każdej wylatywał po kilku miesiącach. Wyrzucano go za różne rzeczy. Na przykład za niedołęstwo pedagogiczne, spóźnianie się do pracy i tym podobne. Z niedołęstwem pedagogicznym było tak, że gdy pracował w technikum, pojechał z klasą na wycieczkę. Jeden z uczniów, prowokator SB, schlał się. Natychmiast pojawiła się milicja. Wystarczył telefon i o sprawie wiedział dyrektor. On agentem nie był. Współpracował z pobudek ideowych. Udzielał się w dzielnicowych strukturach PZPR. Z kolei spóźnianie się do pracy było wynikiem permanentnych legitymowań prowadzonych przez „przypadkowe” patrole MO. Po wydarzeniach marcowych nie musiał martwić się o utrzymanie, gdyż regularnie był zatrzymywany na czterdzieści osiem godzin. W celi się najadał i wysypiał. Nabrawszy energii, wracał do opozycyjnej roboty ze zdwojoną mocą. Tak przynajmniej twierdził. W rzeczywistości działania bezpieki rujnowały mu życie małżeńskie, a potem psychiczne.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - zaczął Kostecki.

Opozycjonista popatrzył uważnie na milicjanta.

- Dobry gliniarz już jest. A zły?

- Odmawia pan zeznań?

- Nie. Po prostu mam bogate doświadczenia.

- Często brat do pana przyjeżdżał?

- Różnie. Czasem częściej, czasem rzadziej.

- Czy brat dzielił się z panem jakimiś problemami? Bał się? Mówił, że ktoś go chce zabić?

- Nie. Nic takiego nie mówił.

- Nie domyśla się pan, kto go zabił? Chyba nie wszyscy w opozycji akceptowali jego orientację seksualną.

- Delikatnie pan to ujął, poruczniku. Czy woli pan formę „obywatelu”?

- Wolę burżuazyjną formę.

- Dobrze.

- Czyli potwierdza pan, że pański brat spotykał się z pogrózkami.

- Tak bym nie powiedział. To nie były jakieś pogróżki oficjalne. Jeżeli mogą tak powiedzieć. Wszyscy wiedzieli, że brat mnie wspierał finansowo, gdy wyrzucaliście mnie z pracy.

- Ja pana wyrzucałem?

- Nie.

- Proszę mówić dalej.

- Przy wódce, jak to zwykle, były jakieś komentarze. Śmichy, chichy i takie tam. Czasem ktoś zażartował mało wybrednie. To tyle. Tych przypadków było jednak mało. Miały charakter incydentalny. Trochę nie wypadało poruszać takich tematów. Szczególnie, gdy byli księża.

- Ojciec Miecznikowski?

- Nie tylko. Ksiądz Papiernik. Ksiądz Strożka. Ksiądz Caruk. Czterech. Na tyłu księży w diecezji.

- Księża nie komentowali postawy brata?

- Trudno mi mówić. Nie byli zachwyceni. To oczywiste. Ze względu na orientację mój brat nigdy nie wszedł do struktur KSS KOR. Ale doradzał. Był dobrym prawnikiem. Poza tym...

- Proszę kontynuować.

- Poza tym miał różne kontakty. Wie pan, jak to jest w takim środowisku. Przecież tacy ludzie są też po drugiej stronie. Są w partii. W milicji. W SB pewnie też. Kryją się nawzajem.

- Nie tylko w łóżku. Chciał pan powiedzieć.

Obaj się zaśmiali. Gdy śmiech wybrzmiał, opozycjonista mówił dalej:

- Czasem o tym opowiadał. Nie za dużo. Raczej wspominał. On był starszy. Rozmawialiśmy dużo o polityce. Pomagał mi pod względem prawnym. Dzięki temu udawało mi się czasem wrócić do pracy. Lub nie stracić jej zbyt prędko. Momentami mnie po prostu utrzymywał. Tak jak mówiłem, miał kontakty. Różne. Przecież mogli mu, tak jak Głogowskiemu, odebrać prawo do wykonywania zawodu. Nie zabrali. Tolerowali. Kogoś znał. Ten ktoś znał jeszcze kogoś i tak to się toczyło. Nic nie mówił o pogrózkach. Nie sędzę, by czuł się zagrożony.

- Czy brat mówił panu o swoich partnerach?

- Nie. Prawie nie. Czasem coś mu się wymknęło. Ale bardzo szybko zmieniał temat. O jego kochankach więcej wiedziałem od różnych opozycjonistów. Ale powiem szczerze, nie kojarzę nikogo z imienia i nazwiska. Prosiłem go, by do mnie do domu nikogo nie zapraszał. Potrafił

to uszanować. Czasem jak przyjeżdżał do Łodzi, to nocował w hotelu, a nie u mnie.

- Rozumiem.

Po sporządzeniu protokołu Andrzej Karlicki podpisał dokument i wyszedł. Wychodząc, zażartował, że na Lutomierskiej pewnie się jeszcze pojawi, niekoniecznie ze względu na śledztwo toczone w sprawie zamordowanego brata.

Rozdział 11

Maj był coraz piękniejszy. Szare miasto przykrył kobierzec kwiatów. Wyziwy fabryczne tłumiał zapach bżów. Piękna pogoda wspomagała dobrą kondycję polskich kolarzy. Lech Piasecki wyrastał na nowego bohatera narodowego – w Wyścigu Pokoju nie miał sobie równych.

Na początku Kostecki czuł żal do prokuratora za to, że ten skierował go na najmniej intrygujący trop śledztwa. Wypominając na dodatek pobyt w szpitalu dla psychicznie chorych. Jednak gdy ochłonął, napił się piwa, które jakimś cudem dowieźli do sklepu, pomyślał, że wykorzysta cudowną pogodę i odwiedzi stare kąty.

Szpital dla „nerwowo chorych” w tak zwanej Kochanówce był pięknie położony. Na peryferiach miasta, w centrum uroczego parku. Kostecki poznał wszystkie zakamarki tej oazy, gdy przebywał w szpitalu w 1983 roku. Na byłego pacjenta czekał doktor Andrzej Bukowczyk. Przywitali się serdecznie. Doktor zaprosił Tadeusza do gabinetu, ale ten poprosił o rozmowę na dworze.

- Jest tak pięknie - powiedział.

- Ma pan rację, poruczniku.

Pospacerowali trochę i wymienili kurtuazyjne uwagi na temat aury. Po kilku minutach usiedli na ławce. Podeszedł do nich jeden z pacjentów.

- Może kawy albo herbaty? - zapytał.

- Bardzo chętnie, panie Mieczysławie, na panu to jak na Zawiszy można polegać. Ja kawę proszę. A pan, panie poruczniku?

- A kawa normalna?

- Oczywiście! Myśli pan, że częstowałbym kawą marki Turek?

- To chętnie!

- Panie Mieczysławie, dwie kawy poprosimy. Ale najpierw chciałbym, byście się panowie poznali.

- My się znamy! - krzyknął pan Mieczysław. - Dwa lata temu pan porucznik tu siedział!

Kostecki się zmieszał, bo nijak nie mógł sobie pana Mieczysława przypomnieć. Postanowił niezręcznie przykryć żartem.

- Wariat z wariatem to się zawsze odnajdzie.

Cała trój ryknęła śmiechem. Po chwili pacjent oddalił się. Bukowczyk spoważniał.

- Nasz stały pensjonariusz. Były więzień obozu na Przemysłowej.

Kostecki drgnął.

- To ten dziecięcy...

- W zasadzie to jestem przeciwnikiem kary śmierci. Ale są przypadki...
Pamięta pan proces Eugenii Pol?

- Oczywiście, że pamiętam. Zaczynałem wtedy pracę w komendzie na Lutomierskiej. Cała Łódź była poruszona. Wszyscy życzyli jej, by dostała czapę.

- Ja też jej wtedy tego życzyłem. Występowałem jako biegły. Widziałem, co się działo z moimi pacjentami, którzy zeznawali jako świadkowie. Dla wielu było to przekreślenie całej terapii. Dla innych bodziec do jej podjęcia. Dla wszystkich byłych więźniów nastąpił powrót piekła. Powinienem się zachować jak profesjonalista, ale w przypadku ofiar obozu przy ulicy Przemysłowej nie potrafię. Ja też pochodzę z Łodzi. Przecież też tam mogłem trafić. Pan Mieczysław miał sześć lat, jak tam wylądował. Mam sześćoletniego wnuczka. Jak sobie pomyślę, co te dzieci tam przeżywały...

- O tym obozie to się dowiedziałem dopiero podczas tego procesu.

- Większość ludzi dopiero wtedy się o tym dowiedziała. Dwadzieścia lat po zakończeniu wojny! Przez całe lata oprawczyni z obozu, sadystka i psychopatka, była wychowawczynią w przedszkolu. Przez dwadzieścia lat żyła w mieście, gdzie dokonywała zbrodni. W tym czasie sądy ludowej Polski skazały tysiące żołnierzy AK na karę śmierci. Pozbawiły majątku tysiące obywateli. Na karę śmierci skazywano domniemanych szpiegów, a nawet niejakiego Wawrzeckiego, który nielegalnie handlował mięsem. Naprawdę w dziwnym państwie żyjemy. Ale skoro milicjanci mordują na komisariatach... - Bukowczyk ugryzł się w język. - Nie chciałem pana urazić.

- Nie uraził mnie pan. Przecież ja nikogo nie zabiłem. - Teraz Kostecki ugryzł się w język. - Zna pan moją historię. Pochodzę z robotniczej rodziny, mocno lewicującej. Dzisiaj bym do milicji nie poszedł. Myśli pan, że jest mi łatwo. Prawie każda kobieta, która dowiaduje się, że jestem na etacie MSW, robi dziwną minę. Mówię „prawie każda”, natomiast absolutnie każda zaprzestaje ze mną kontaktu, gdy dowiaduje się, że siedziałem u czubków. Ja też jestem w jakimś stopniu ofiarą systemu. Przecież obaj domyślamy się, kto zabił mojego ojca.

Kostecki nie powiedział, że bardziej od śmierci ojca przeżył śmierć ukochanej kobiety. Nie musiał tego mówić. Bukowczyk doskonale to wiedział.

Tymczasem nadszedł pan Mieczysław. Niósł tacę z parującą kawą.

- Proszę - powiedział dumnie.

Kostecki z Bukowczykiem podziękowali.

- Co jeszcze mogę zrobić, panie doktorze?

Bukowczyk myślał przez chwilę. Podrapał się po brodzie, poprawił okulary, strzepnął pyłek z marynarki i rzekł poważnie:

- W Wyścigu Pokoju Polacy świetnie jeżdżą. Może by pan gazetkę zrobił na ten temat? Może uda się panu kupić w kiosku „Sportowca”. Plakat Piaseckiego ukazał się chyba w „Razem”. Nasz kiosk jest nieźle zaopatrzony, bo leży na uboczu, nawet „Ekspress...” bywa i nie trzeba stać w kolejkach. Niech pan pójdzie do kiosku i zrobi przegląd prasy. Ładne zdjęcia, na których cokolwiek widać, niech pan wybierze, wytnie i zrobi gazetkę.

Pan Mieczysław długo i wylewnie dziękował za świetny pomysł doktora. Potem z zapalem zabrał się do pracy. Bukowczyk odholował go wzrokiem i powiedział:

- Rzadki przypadek chorego, który nie bał się skorzystać z pomocy psychiatrycznej. Trafił tu jeszcze w latach sześćdziesiątych. Jakoś udało mi się go wyprowadzić, byłem wtedy młodym lekarzem. Potem był ten proces. Właściwie terapię musiałem zaczynać od początku. W zasadzie on tu mieszka. Czasami wraca do normalnego życia, ale po kilku miesiącach, czasem tygodniach, wraca. Mam tu na tyle silną pozycję, że zawsze go przyjmują. Miał żonę, na szczęście się z nim rozwiódł. Córka wyjechała, za Gierka, z matką do RFN. Właściwie pomocą lekarską należałoby objąć całą rodzinę ofiar z ulicy Przemysłowej. Mam nadzieję, że w Niemczech mają odpowiednich specjalistów. W końcu, do jasnej cholery, do czegoś powinni się poczuwać.

Kostecki nic nie mówił. O koszmarze dzieci z ulicy Przemysłowej dowiedział się, gdy media zaczęły pisać o procesie Eugenii Pol, zbrodniarki obozowej. Wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia opinia publiczna przyjęła z oburzeniem. Jednak gdy wyrok zapadł, gazety i radio porzuciły temat. O sprawie powoli zapomniano.

- Rozgadaliśmy się - doktor z wysiłkiem przybrał weselszy ton głosu. - A pan do mnie przyjechał w sprawie jakiegoś śledztwa.

- Tak. W ciągu parunastu dni znaleziono dwóch ludzi. Zostali zabici w ten sam, dosyć spektakularny sposób. Uderzenie młotkiem w potylicę. Potem wbicie w odbyty drewnianego penisa.

- Gratulacje. Wreszcie ma pan totalnego psychopatę!

- Nie jesteśmy pewni, czy to psychopata, są różne hipotezy. Ja mam się zająć tą ewentualnością.

- Znowu dali panu najcięższą robotę. Niech pan opowie. Jak tylko będę mógł, to pomogę.

- Z tego co udało się ustalić zamordowani mężczyźni nie znali się. Pochodzili z zupełnie innych środowisk. Mieszkali w innych miastach, mieli odmienne preferencje seksualne i poglądy polityczne.

- Na pewno zabijał ten sam człowiek?

- Tak. Ten sam sposób uśmiercania.

- Powiedział pan o tym, co denatów różniło. A czy coś ich łączyło, oprócz tego, w jaki sposób zostali zabici?

- Tak. Obaj byli w podobnym wieku. Po sześćdziesiątce, ale przed siedemdziesiątką. Drugie podobieństwo jest takie, że obaj byli w jakiś sposób przyjezdni. Jeden mieszkał w Łodzi raptem od kilku tygodni. Wcześniej incydentalnie przyjeżdżał do córki. Drugi miał w Łodzi brata i do niego przyjeżdżał kilka razy w roku.

- Myślę, że to, co łączy, może mieć znaczenie. Po pierwsze wiek. Nie byli młodzi, ale do miana starszków dużo im brakowało. Zabójca mógł myśleć takimi kategoriami: wystarczająco starzy, by się dać zaskoczyć, na tyle młodzi, by pokonanie ich uznać za sukces. Po drugie w jakimś stopniu przyjezdni. Mało znani w okolicy. W sumie łatwy cel. Morderca jest mężczyzną?

- Tak. Na pewno. Jeden z sąsiadów widział, jak pierwsza ofiara wpuściła do domu zabójcę. Około godzinę przed zgonem. Mało prawdopodobne, że zabił ktoś inny, niż ten, co wchodził. Musieli się znać.

- Niekoniecznie. Jeżeli ten zamordowany człowiek był przyjezdny...

- Mieszkał w Łodzi od niedawna.

- Na jedno wychodzi. Mieszka pan w nowym miejscu od kilku tygodni. W nowym mieście, dodajmy. Nagle dzwonek do drzwi. Jakiś człowiek mówi, że jest awaria, coś muszą sprawdzić i tak dalej. Albo facet mówi, że jest sąsiadem i potrzebuje zadzwonić na pogotowie. Nie wpuści pan?

- Myśli pan, że mogli się nie znać?

- Nie musieli się znać. Tak bym powiedział. Mam jeszcze pytanie. Czy na miejscu zbrodni zabójca pozostawił spermę?
- Nie. Nie było jej ani w pobliżu ofiar, ani w ciele, ani na zwłokach.
- Ciekawe. W przypadku morderstw na tle seksualnym zabójca często traktuje je jako swoistego rodzaju doping do działania.
- Zostawił natomiast drewniane penisy i młotek, narzędzie zbrodni.
- Chwali się.
- Myśli pan, że to jednak psychopata?
- Z tego, co pan mówi, wylania się taki obraz mordercy. Przypadkowe ofiary, za to dosyć łatwe do zamordowania. Obawiam się, że czekają nas kolejne ataki. Pisała o tym prasa?
- Nie. Z różnych przyczyn nie nadajemy sprawie rozgłosu.
- To tym bardziej zaatakuje. Tacy popaprańcy uwielbiają być w centrum uwagi. Ma pan ciężki orzech do zgryzienia. Potencjalnymi ofiarami są mężczyźni w wieku od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu lat, okazjonalnie przyjeżdżający do Łodzi. Kilkanaście tysięcy potencjalnych ofiar. Jeżeli mieszkańców Zgierza, Pabianic czy Ksawerowa uznamy za przyjezdnych, to liczba ta może wynieść nie kilkanaście, ale kilkadziesiąt tysięcy.
- Pokusiłby się pan o stworzenie profilu?
- Naogładał się pan zachodnich kryminalów. Poważnie mówiąc, za mało danych. Musi zabić większą ilość osób. Natomiast jedna rzecz mnie uderza.
- Jaka?
- Jeżeli dla mordercy miało znaczenie, że ofiary były okazjonalnymi łodzianami, przyjezdnymi, to znaczy, że musiał jakoś ten fakt ustalić. Tego typu zabójcy zawsze robią dokładny zwiad. Ich nieuregulowany pobyt w mieście musiał być dla zabójcy okolicznością ułatwiającą zadanie. Być może wykorzystał to przy pierwszym zabójstwie.
- O drugim zabójstwie wiemy mniej. Miejscem zbrodni był położony na uboczu dom na Rudzie Pabianickiej. I nie mamy żadnych świadków.
- A gdzie doszło do pierwszego ataku?
- W ścisłym centrum. Dzielnica willowa na tak zwanej Radiostacji.
- Aha. - Doktor zamyślił się. Poglądził brodę. Dopił kawę. - Myślę, że zabójca musi mieć dużo wolnego czasu i sporo pieniędzy. Obserwacja potencjalnych ofiar w tak odległych częściach miasta. Ustalenie, kiedy będą w Łodzi, dopracowanie czasu ataku...
- Poważna operacja logistyczna.

- W rzeczy samej. Myślę, że zabójca nie musi się martwić o utrzymanie, nie pracuje lub pracuje w terenie, jest kierowcą, często się przemieszcza.

- Dziękuję za kawę i nowe trofy.

- Jeżeli chodzi o kawę, to mam jej spory zapas. Moja córka wyjechała do Francji na zaproszenie doktora Ubaki. Na szczęście dostała paszport. Co miesiąc przysyła mi paczkę z kawami. Piłem już kolumbijską, ekwadorską. Teraz smakowaliśmy napar z ziaren rodem z Tanzanii. Mówię o tym, bo chcę panu zaferować kontyngent naszego ulubionego narkotyku.

- Jestem pod wrażeniem. Dziękuję.

- No i niech pan wpada częściej. Będę myślał, jak pomóc. Napiszę do moich kolegów z innych państw. Może podsuną mi jakiś trop.

Gdy Kostecki szedł do bramy, natknął się na wracającego z kiosku Mieczysława. Były więzień obozu dziecięcego trzymał w ręku plik gazet. Na jednym z gazetowych zdjęć widniał Smolarek w starciu w greckimi obrońcami. Mietek pacnął dłonią w zdjęcie i powiedział:

- Dobrze, że Grekom dokopali. Cztery jeden. Piękny wynik. W bidulu zawsze z nimi przegrywaaliśmy.

- Z kim? - zapytał Kostecki.

- Z Grekami.

- Z Grekami?

- Tak. Gdy komuniści przegrali wojnę, to ich zwolennicy zaczęli uciekać do Polski i innych demoludów. U mnie w domu dziecka było kilkunastu chłopaków z Grecji. Nieźle grali w gałę. Zawsze nas lali. To znaczy ich. Moich kumpli. Ja nie grałem.

- Nie lubił pan grać?

- Lubilem, ale nie mogłem.

- Kontuzja?

- Nie. Chleb.

- Chleb?

- Tak. Ten dom dziecka to moje najlepsze lata życia. Trafiłem tam w czterdziestym szóstym. Gdy wyszedłem z obozu, to tułałem się po jakichś krewnych. Moją rodzinę zabili Niemcy. Rodziców załukli na gestapo. Dziadków i ciotki wywieźli do Oświęcimia. Zostali jacyś dalecy krewni. Żle mi u nich było. Ciągle byłem głodny, jak w obozie. Ten dom dziecka był wybawieniem. To był pałac. Trzy kondygnacje. Trzy baszty, albo raczej wieże. Z tarasem sięgającym pierwszego piętra, na który wychodziły duże przeszklone drzwi z ogromnej sali balowej. Wokół tarasu była marmurowa

balustrada. Podpierały go kolumny. Szło się pięknymi alejkami wysadzonymi drzewami.

- A co z piłką? Dlaczego nie mógł pan grać?

- Bo pilnowałem chleba. Kiedy pierwszy raz jadłem tam posiłek, to był taki przydział. Dwa plasterki kielbasy i trochę marmolady. Ogólnie mało, ale chleba mieli dużo. Ile kto chciał, mógł jeść. Brałem ten chleb i go chowałem. Pod łóżkiem. Ale wychowawca mówił, by tego nie robić. Ciągle mi ten chleb zabierał. To dlatego musiałem chleba pilnować. Nosilem go przy sobie. Cały czas. Nie mogłem grać w gałę, bo musiałem go pilnować. Chłopcy się ze mnie śmiali i nazywali mnie chlebojadem. Ale to nic. Chleb jest najważniejszy, panie poruczniku. Kiedyś była gwiazdka i przyszedł Dziadek Mróz. Taki ruski... Dawał różne prezenty. Mnie dał latarkę. Taką fajną. Z czerwonym i niebieskim szkieletem. Można było mieć światło czerwone lub niebieskie. Bardzo galanta ta latarka była. Ale ja się zamieniłem z kolegą. Ten kolega miał wujka w wojsku i ten wujek przysyłał mu różne puszki. Konserwy znaczy się. I ja się zamieniłem. Dałem tę latarkę za pięć konserw. Te konserwy zakopałem w ogrodzie, koło takiego dębu. Tak, tak, dom dziecka to był najlepszy czas w moim życiu. Chleba było pod dostatkiem.

- Nie samym chlebem człowiek żyje.

- Ma pan rację. Pamiętam, że właśnie wtedy byłem pierwszy raz w kinie. Poszliśmy wszyscy na Czarci źleb. Tadeusz Schmidt grał głównego bohatera - Jaśka Gazdonia. Ten Jaśko był takim łobuziakiem. Ale przeszedł na dobrą stronę, bo zakochał się w Hanusi. Tą Hanusią to grała Alina Janowska.

- A kto był po tej złej stronie? Zakładam, że reakcyjne podziemie.

- Nie do końca. Czarnym charakterem był taki arystokrata, co to chciał przemycić przez granicę dzieła sztuki. Fajny film. Podobał mi się. Ale najbardziej to podobał się tym Grekom. Płakali i mówili, że góry piękne, w tym filmie. Prawie takie jak u nich. Tak się wzruszyli, że przegrali z nami cztery do jaja. Niech pan zgadnie, kto im strzelił trzy bramy?

- Pewnie jakiś wariat.

Zaśmiali się obaj.

- Chleba nie musiał pan pilnować?

- Nie. Akurat popsuł się samochód, który wiozł chleb. Ale wracając do kina, to pamiętam, że byłem jeszcze na Ślepym Torze. Tam też grała Janowska. Na Żołnierzu Wolności też byliśmy. To o Świerczewskim było.

Podhale w ogniu było fajne. Ale najlepszy film, na którym byłem, to Przygoda na Mariensztacie. To był film.

Rozdział 12

Pucharowa środa zapowiadała się pasjonująco. Cała piłkarska Polska ścisłała kciuki za Juventus. Finał z Liverpooliem rozgrywano na stadionie Heysel. Kostecki był podekscytowany od rana. Na Lutomierskiej pojawił się dosyć wcześnie i z dumą zaparzył tanzańskiej kawy dla Jabłoniaka. Siedzieli przy stole i wachali aromat. Jabłoniak oczami wyobraźni widział śniegi Kilimandżaro.

- Popatrz - zaczął Kostecki - dzisiaj Liverpool z Juventusem. Obydwie potęgi Widzew pokonał. Tydzień temu w finale Pucharu Zdobywców Pucharów grał Rapid. Też odhaczony nad łóżkiem Sobolewskiego.

- A pamiętasz, jak niektórzy kręcili głowami, że Rapid Wiedeń, co to za potęga?

- W głowie się przewracało.

Do pokoju wszedł prokurator i przysłuchiwał się rozmowie.

- Tak jest. Rapid w finale, Juventus w finale razem z Liverpooliem. Tylko Widzew dostał wpieryd jeszcze jesienią od Dynama Mińsk! To wam się w głowie przewracało. Za towarzyszymi z ZSRR nie chciało się biegać? Ambicji nie starczało? Bo co, Spartak Moskwa nie kupi? Dynamo Tbilisi w dolarach kontraktu nie zagwarantuje? Do sportu trzeba mieć charakter. Nie można być najemnikiem, któremu zależy tylko na forsie. Ambitni piłkarze z Mińska, którzy pewnie nawet ładami nie jeżdżą, tylko metrem lub zaporozcem, pokazali wam, gdzie raki zimują. Wielki Widzew, he, he, z Szombierkami wam grać.

Kostecki nie zareagował. Miał jednak ochotę powalić prokuratora na ziemię przez ippon.

- Poczęstujecie mnie kawą? - prokurator wyczuł aromat.

- Mamy tylko kawę Turek. Idealna dla kibiców ŁKS - odpowiedział Kostecki.

Gdy w sali znalazł się Banasik, rozpoczęli naradę. Pierwszy zdał relację Jabłoniak.

- Gruntowanie przeanalizowałem teczkę profesora. Bogaty materiał... Chyba coś mam. Dzięki tajnym współpracownikom znamy praktycznie wszystkich kochanków profesora. Wszystkich od momentu inwigilacji, czyli

od 1976 roku. Po dogłębnej analizie materiałów zwróciłem uwagę na dwójkę partnerów profesora. Pierwszy to Stanisław Leśniak, były kochanek, pierwszy ustalony przez TW Ogrodnika. Po odrzuceniu przez profesora popadł w tarapaty. Wyrzucono go z pracy. Żona się z nim rozwiodła i wyjechała na Zachód, jeszcze przed stanem wojennym. Leśniak popadł w długi, rozpił się, by nie rzecz zdegenerował. Profesor incydentalnie pomagał mu finansowo. Zachęcał do leczenia. Z informacji od agentury wiemy, że Leśniak miał do profesora pretensje. Groził, że go zabije, za to, że przez niego... - Jabłoniak zawiesił głos.

- Co przez niego? - dopytał Banasik.

- SB zniszczyła mu życie.

- A drugi kochanek? - Jasińskiemu nie drgnęła brew.

- Drugi to Andrzej Barański. Artysta, rzeźbiarz, można powiedzieć: męska prostytutka. Lat 24. Ostatnio był zatrudniony w zakładach Feniks w Łodzi. Utrzymanek profesora przez ostatecznie trzy lata. TW Irokez donosił, że kilka tygodni temu Andrzej Barański popadł w konflikt z profesorem. Profesor miał zaprzestać z nim relacji.

- Wiedziałem, że z tej teczki coś wyciśniemy - powiedział prokurator. Kostecki wiedział, że nikt go o nic nie zapyta.

- Piszę nakaz aresztowania dla tych obu obywateli. Mamy dość, żeby ich przymknąć. Będą mieli solidne alibi, to się ich wypuści. Do tego kipisz w mieszkaniach, może coś znajdziemy.

- Zatem raczej wątek związany ze środowiskiem, jak to się teraz mówi, gejowskim? - zapytał Banasik.

Kapitan wyraźnie nie docenił prokuratora Jasińskiego.

- Ja bym nie wykluczał obydwu wątków. Mam wystarczające uprawnienia, by zażądać personaliów tajnych współpracowników oraz ich teczek osobowych. Będziemy mieli pełny obraz. Poznamy oficerów prowadzących oraz innych figurantów rozpracowywanych przez agenturę SB. Jeżeli się okaże, że ludzie ci mają związki z... Powiedzmy z wewnętrznymi wrogami obecnej władzy, to będziemy temat badać. Być może Barański lub ten drugi byli tylko narzędziami. Zresztą nie ma co teraz filozofować. Na początek zajmujemy się tymi dwoma gejami.

Kostecki pomyślał, że prokurator sam musi być gejem, skoro zamiast treściwych słów, takich jak „pedał”, „ciota” czy „zboczeniec”, używa jakiejś dziwnej nowomowy.

Czując, że odsunięto go na boczny tor, Kostecki powlókł się do domu. O godzinie dwudziestej włączył telewizor i zmartwił się, czy Boniek będzie w stania zagrać następnego dnia w Tiranie z Albanią. Strata punktu mogła przekreślić szanse na mundial w Meksyku. Gdy telewizor się rozgrzał, Kostecki pomyślał, że zapas wódki w lodówce jest panaceum na koszmar życia nie tylko w kraju demokracji ludowej.

Rozdział 13

Gdy następnego dnia KostECKI przyjechał do Kochanówki, przywitał go pan Mieczysław.

- Dobrze, że Juventus wygrał. Prawda? Karny był na Bońku... To niesprawiedliwe, że Boniek wywalcza karnego, a strzela zawsze Platini.

- W Tiranie na pewno strzeli bramkę Boniek.

- Jak wygramy, to zrobię gazetkę. Ma pan jakieś plakaty z piłkarzami?

- Coś się znajdzie. Przyniosę panu. My, wariaci, musimy trzymać się razem.

- Tym razem gazetka będzie miała też wierszyk.

- Wierszyk?

- Gdy Młynarczyk na stadionie dzielnie polskich barw broni, wtedy niejeden kibic ze szczęścia łezkę uroni.

- Super! To pana wiersz?

- Tak. Napisałem jeszcze jeden, ale doktorowi się nie spodobał. Taki trochę nieprzyzwoity...

- Niech pan mówi!

- Kiedy Lato piłkę ma, każdy bramkarz w gacie sra.

- Ekstra! Mnie się bardzo podobają obydwaj!

Mieczysław uśmiechnął się do Tadka. Nadszedł Bukowczyk. Minę miał taką, jak gdyby całą noc oglądał egzekucje.

- O czym to ostatnio rozmawialiśmy, poruczniku? O psychopatach? Maniakalnych mordercach? Wczoraj mogliśmy ich sobie obejrzeć do woli. Przez kilka godzin. Morderca, który wkłada zabitym ludziom drewniane penisy w odbył jest człowiekiem głęboko zaburzonym. Być może był w dzieciństwie molestowany. Może katem był rodzic? Tego oczywiście nie możemy powiedzieć, ale często maniakalni mordercy to ludzie głęboko pokrzywdzeni lub dziedziczący skłonności do tego typu zachowań. Względnie rzadki układ chromosomów. Po prostu muszą zabijać. Takie jednostki stanowią promil wśród tak zwanych normalnych ludzi, których nikt nie molestował, nie katował, z normalnym układem chromosomów. Jeżeli zabija psychopata, to jest to jakoś wytłumaczalne.

Można to logicznie wyjaśnić i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zabijał. Ale jak wyjaśnić to, co się stało wczoraj? Mordercy pochodzą z kraju, który przez dwieście ostatnich lat narzucał światu standardy cywilizacji. Od trzystu lat jest państwem demokratycznym. Od trzynastego wieku ma parlament. Z tego państwa pochodzą Locke, Oscar Wilde, Orwell. Jeżeli dodamy Szkotów, Walijszczyków i Irlandczyków z Ulsteru, to liczba wybitnych ludzi kultury i nauki będzie imponująca. Jak zatem wytłumaczyć to, co się stało? Mordercy urodzili się dwadzieścia lub dwadzieścia kilka lat temu. Nie było wtedy wojny, głodu, katastrof żywiołowych. Ich rodzice dorastali w dobrobycie, o którym wcześniejsze pokolenia nawet nie śniły. Po pracy lub szkole chodzili na koncerty Beatlesów. Przecież to Liverpool! Jak to wyjaśnić, panie poruczniku? Jaki motyw? Religijny? Przecież to w pełni świeckie społeczeństwo. Ideologiczny? A jaką to ideologię wyznają te bestie? Widział pan jakiś transparent o treści politycznej? Ekonomiczny? Co chcieli tym biednym Włochom zabrać? Szaliki? Nie stać ich? Przecież mieli swoje, czerwone z nadrukami. O takich szalach kibice Widzewa czy ŁKS-u nawet nie marzą.

- W dzienniku telewizyjnym...

- Oglądałem poranne wydanie. Czasem oglądam te goebbelsowskie gnioty. Powiem tak: załóżmy, że komuniści mają rację. Że reformy konserwatystów są radykalne. Ludzie tracą pracę. Zasiłki są niskie lub ich nie ma. Załóżmy, że tak jest naprawdę. Jednak państwo funkcjonuje. Jest służba zdrowia, działają szkoły i szpitale. Jest policja. Wygrali wojnę o Malwinę. Mówimy o mocarstwie. O jednym z najbogatszych państw na świecie. Ostatnio widziałem jeden z takich propagandowych filmideł. Polski dziennikarz z przerażeniem w oczach rozmawiał z „ofiara” polityki Thatcher. Rzekomy bezrobotny. Niech będzie, że rzeczywiście jest bez pracy. Rozmawiali u niego w domu. Mieszka sam, w dwóch pokojach. Operator kamery był tak głupi, że pokazał wnętrze lokalu. Telewizor, magnetowid. Bezrobotny otworzył lodówkę. W lodówce szynka, cola, czekolada. Bezrobotny odziany był w jeansy i kurtkę, za którą nasze małaolatki dałyby się wsadzić do puszek na czterdzieści osiem godzin.

- Dlaczego w takim razie zabijali?

- Zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego piłka nożna jest tak popularna?

- Bo jest emocjonująca?

- Garri Kasparow odpowiedziałby, że emocjonujące są szachy. Długo próbowałem zgłębić ten problem. Dlaczego ludzie szaleją na punkcie piłki nożnej? W starożytnym Rzymie igrzyska gladiatorów też budziły ogromne

emocje. W Bizancjum ludzie ginęli na hipodromach. Ówczesne kluby kibica miały poważne aspiracje polityczne. Mój pierwszy wniosek był więc taki: sport odpowiada na jakieś najgłębsze, najbardziej skrywane potrzeby ludzkie. Ale wróćmy do piłki nożnej. Słyszał pan o tym, by ktoś się pobił na zawodach lekkoatletycznych? Albo podczas zawodów szermierczych czy łuczniczych? Oczywiście, że pan nie słyszał. Nikt nie słyszał. A przecież łucznictwo czy szermierka to na pozór bardziej agresywne sporty. Niech pan zwróci uwagę, że mecze boksu też nie budzą takich emocji. Jaki z tego wniosek?

- Że trzeba sięgnąć głębiej, żeby zrozumieć istotę piłki nożnej. Szermierka, łucznictwo, biathlon to wszystko wynalazki cywilizacji. Musimy sięgnąć głębiej.

- Bravo! Nie bez przyczyny jest pan dobrym glina! Umie pan myśleć. Tak. By zrozumieć piłkę nożną, należy sięgnąć do czasów, gdy nie było cywilizacji. Gdy spaliśmy w jaskiniach czy na drzewach. Niech pan sobie teraz wyobrazi mecz piłkarski rozgrywany bez przeciwnika. Co pan widzi?

- Drużyna podaje sobie piłkę. Ktoś ją wkopuje do bramki.

- Bramka. Z czym się panu kojarzy?

- Z jaskinią?

- Dobrze. Z załomem skalnym?

- Może być.

- Teraz piłka. Przyzna pan, że kopanie piłki nie jest łatwe. Przecież często się zdarza, że najlepsi piłkarze pudłują, strzelając na pustą bramkę.

- Dziekanowskiemu to się zdarza w każdym meczu.

- Jaki z tego wniosek? Chyba nie powie pan, że facet, za którego zapłacono dwadzieścia jeden milionów, nie umie grać w piłkę.

- Nie powiem. Zaś wniosek z tego taki, że kopanie jest bardzo mało precyzyjne w porównaniu z rzucaniem.

- Do tego zmierzam. Niech pan zwróci uwagę, że piłka ręczna właściwie niczym nie różni się od piłki nożnej. Niczym poza tym, że u nas kopimy, a w szczypiorniaku się rzuca.

- Szczypiorniakowi nie pomogło nawet to, że ten sport rozpropagowali legionieści Piłsudskiego. Podzielił pan świat na „nas”, sympatyków piłki nożnej, oraz tych innych.

- Celowo tak zrobiłem, a pan świetnie to wychwycił. Wracam jednak do meritum: dlaczego futbol tak bardzo góruje popularnością nad innymi dyscyplinami?

- Ustaliliśmy, że bramka to jaskinia, a kopanie jest bardzo nieprecyzyjne. Czyli duży element ryzyka.

- Tak. Została nam jeszcze jedna sprawa: piłka. Co ona symbolizuje?

- Nie mam pojęcia.

- Był pan kiedyś na wsi?

- Byłem. W zeszłym roku pojechałem z Felkiem, moim przyjacielem, na wieś. Cielaka mieliśmy kupić. Cielak się zerwał i musieliśmy go gonić. Dopiero jak zapędziliśmy go do takiej zagrody, to...

- To co?

- Piłka to zwierzyzna!

- Brawo!

- Drużyna przeciwna to konkurujące plemię! Gra idzie o to, kto zapędzi zwierzyinę do załomu skalnego i będzie miał mięso!

- Tak. Piłka nożna to walka o mięcho. Uruchamia najdziksze instynkty!

- Między Salwadorem a Hondurasem nawet wybuchła wojna.

- Mecz piłkarski był bezpośrednią przyczyną wojny. Niech mi pan powie, jaka była pana pierwsza myśl, gdy okazało się, że mecz może nie dojść do skutku albo zostanie rozegrany z kilkugodzinnym opóźnieniem?

- Nie pamiętam - skłamał Kostecki.

- To ja panu przypomnę, bo ja pomyślałem tak samo: czy Boniek zagra dzisiaj w Tiranie? Czy dotrze? Czy będzie mógł grać przez cały mecz? Tak pan pomyślał.

- Wszyscy jesteśmy dzikusami.

- Pięknie pan to ujął.

- Jaki z tego płynie morał?

- Że mordercą może być każdy. Wystarczy iskra.

- Nie pocieszył mnie pan w kontekście śledztwa.

- Nie miałem takiego zamiaru. Natomiast dotarłem do kilku artykułów w fachowej prasie. Doktor Ubaka przesyła mi regularnie cały plik francuskich periodyków psychiatrycznych. Na uniwersytecie też mamy sporo materiałów. Nigdy się jakoś specjalnie homoseksualistami nie zajmowałem. Poczytałem sporo. Na Zachodzie problem jest opisywany bez tego dziwnego, naszego tabu. Na pytanie, czy homoseksualista może mordować na tle seksualnym tak samo jak człowiek heteroseksualny, odpowiadam: tak, może. W tych naukowych pismach znalazłem szereg takich opisywanych przypadków.

Wieczorem, gdy Kostecki wracał do domu, usłyszał kibicowską piosenkę: „Płonie ognisko na Jude Strasse, cała Legia pali się, pali się i już nigdy nie zgaśnie, wujek Adi cieszy się”. W odpowiedzi, jakby z drugiej strony osiedla, poszła odpowiedź, a może druga zwrotka piosenki: „Liverpool, Live, Live, Live”. Tadeusz miał odruch wymiotny.

Następnego dnia z plikiem gazet sportowych pojechał do Kochanówki. Przywitał go pan Mieczysław, który przygotowywał kolejną gazetkę ścienną.

- Obiecałem, to przywozłem - Kostecki z dumą wręczył gruby plik gazet. - Tu ma pan polskie, głównie „Sportowiec”, bo ma najlepszy papier. A tu - Kostecki zrobił taką minę, jakby znalazł argument na podważenie teorii względności - „Guerin Sportivo”!

- No tak, wygraliśmy, a Boniek strzelił jedyne gola.

Kostecki zaczął przewracać kartki gazety.

- Nich pan spojrzy: Boniek w koszulce Juventusu, Platini, Maradona, Falcao, Zico, Scifo...

- Bardzo panu dziękuję - Mieczysław uśmiechnął się od ucha do ucha, ale jego wielkie czarne oczy pozostały smutne.

- Nie ma sprawy. Jak hukniemy we wrześniu Belgów, to przyniosę nowe.

- Doktor Bukowczyk coś mówił o moich gazetkach?

- Tak. Kilka razy mówił, że to najlepsze gazetki ścienne w całym szpitalu

- Kosteckiemu nos wydłużył się jak Pinokiovi.

Na moment wielkie czarne oczy pacjenta rozbłysły radością.

Rozdział 14

Gdy Kostecki zawoził „Guerin Sportivo” panu Mieczysławowi, w siedzibie prokuratury przesłuchiowano dwóch podejrzanych gejów. Prokurator lubił precyzyjne pytania.

- Co pan robił w dniu piętnastego maja bieżącego roku? - zadał pierwsze z nich.

Podejrzany Barański poczuł, jak wycieka z niego cały pot. Ręce mu drżały, a w gardle zrobiło się sucho jak na Atakamie.

- Byłem na placu Dąbrowskiego.

- Co pan tam robił?

- To takie nasze miejsce...

- Jakie miejsce i czyje? Proszę odpowiadać precyzyjnie.

Barański wypocił już cały zapas wody. Jasiński podszedł otworzyć okno. Zmienił też miejsce, by nie wdychać odoru interlokutora.

- Tam się spotykamy. Tam, to znaczy: na pikiecie. My, to znaczy: geje, pedały, lewi, przegięci.

- W celu? W jakim celu się tam spotykacie?

- Nawijujemy znajomości.

- Rozmawiacie o piłce nożnej?

- Nie.

- To co tam robicie?

- Spotykamy się, a potem idziemy się kochać.

- Idziecie ze sobą do łóżka?

- Nie zawsze do łóżka. W niedzielę rano na dworcu jest mały ruch. Często idziemy do dworcowych szaletów. Niektórzy nawet mają pikietę w parku. Tym koło cerkwi. Jest bliżej na dworzec. Ja tam bywam rzadko, bo można dostać w łeb od starych gitowców. Teatr daje pewne poczucie bezpieczeństwa. Tym bardziej że...

- Że co? Niech pan mówi!

- Niektórzy z aktorów...

- Rozumiem.

- Wróćmy do tamtej niedzieli. Cały dzień pan tam spędził? Ma pan świadków, którzy to potwierdzą?

- Około godziny dziesiątej poszedłem ze Stefanem na dworzec. Stefan Jakubiak mieszka na Narutowicza 8.

- Ile czasu tam spędziliście?

- Kilka godzin. Szwendaliśmy się po dworcu. Co jakiś czas wchodziliśmy do kibla dworcowego. Wchodziliśmy też do toalet podstawianych pociągów, gdy było mało ludzi.

- Czy ktoś może poświadczyć pana znajomość z tym Jakubiakiem?

Barański wymienił szereg nazwisk oraz pseudonimów. Pod koniec przesłuchania był tak osłabiony, że nie dał rady wyjść o własnych siłach. Jasiński napił się solidnie cytronety. Otworzył drugie okno i poprosił, by wprowadzono Lesiaka.

- Co pan robił w niedzielę piętnastego maja bieżącego roku?

- Wałęsałem się i zbierałem złom, makulaturę i inne „skarby”.

- Po co?

- Bo ja z tego żyję. Nikt mnie nie chce zatrudnić. Zniszczyliście mi życie!

- Gdzie pan zbierał wymienione przedmioty?

- W okolicach ulicy Dubois. Tam mieszka moja matka i ja też właściwie tam mieszkam. Chociaż meldowany jestem gdzie indziej.

- Ktoś może potwierdzić, że pan zbierał ten złom? Ktoś pana widział?

- Chyba nie.

Dzień później kapral Nitrzański pojechał wraz z patrolem na plac Dąbrowskiego, potem zaś do parku imienia Moniuszki, położonego na tyłach dworca Łódź Fabryczna. Po dwóch godzinach zawiózł wszystkich zwiniętych gejów na Lutomiarską.

- Bez problemów? - zapytał Banasik.

- Jakich problemów?

- Pytam, czy nie musieliście użyć siły? Czy nie stawiali oporu?

- Nie. To znaczy tak. To znaczy nie!

- Czyli co?

- To znaczy użyłem siły.

- Zwariowaliście, kapralu Nitrzański?

- Jeden z tych, no ten tego, przegiętych, powiedział, że jestem głupszy niż ustawa przewiduje. Zapytałem, co to za ustawa? Nie umiał powiedzieć,

to użyłem służbowej pałki.

- Dobrze, że dodałeś służbowej! W tej sprawie inny zwrot mógłby zostać opacznie zrozumiany.

- Nie rozumiem!

- Nieważne.

Rozmowie przysłuchiwał się Kostecki. Gdy Banasik na chwilę odszedł, kaprał powiedział:

- Co ja poradzę na to, że lubię ludziom spuścić łomot. Pamiętam pierwszą poważną akcję. To było święto pierwszego maja. Opozycja w Katowicach zrobiła niezłą rozróbę. Musieliśmy interweniować. Najpierw żeśmy tak delikatnie przylali najbardziej aktywnym. Gdy przypierdoliśmy, to reszta aktywnych straciła animusz i zaczęła uciekać. Dowódca kompanii ryknął: „naprzód”. Ruszyłem. Okazało się, że poszło za mną raptem kilkunastu kolegów. Reszta stała w miejscu. Oj, dostało się później tym, co zostali... Piętnaście kilometrów po poligonie, z pełnym wyposażeniem na plecach. Trzeciego maja nikt już nie został. Jak padła komenda, to cała kompania ruszyła z kopyta. Pamiętam jak dziś. Ruszyliśmy wtedy, a oni wprowadzili nas w pułapkę. Wpadliśmy na podwórko, myśląc, że łatwo ich spałujemy. Wpadamy, a tam z okien lecą na nas doniczki. Ale chuj z doniczkami. Zaczęli w nas rzucać słoikami z kwasem. Kurwa, kilku z moich kumpi dostało. Byli poparzeni jak chuj. We mnie za to rzucili takim metalowym kłem z jakiegoś górniczego kombajnu. Uchyliłem się i ten kieł trafił takiego Staszka z Zakopanego. Chłopak poszedł na rentę. Przez chwilę było naprawdę gorąco. Ale dowódca kompanii, taki, co górników w Wujku pacyfikował, stanął na czele i ryknął: „kompania robi złotwia”. Ustawiliśmy się ciasno w szeregu, z tarczami na głowach i po bokach. Podobno rzymscy żołnierze tak robili. Jak żeśmy się w tego złotwia zbili, to chuja nam mogli zrobić. Z armatki wodnej nie mogliśmy ich trafić, bo rzucali w szyby foliówkami z mąką ziemniaczaną. Tym gorzej dla nich. Lole poszły w ruch. Ach, ilu ich tam do szpitala trafiło... Gdy już ci na podwórku byli załatwieni, dowódca kompanii dał znak, byśmy wyrównali rachunki z tymi, co rzucali z okien. No to ruszyliśmy. Wpadłem do jednego z mieszkań, z którego ten kwas poleciał. Patrę, a tam tylko taka baba z sześćdziesiątką na karku. Myślałem, że to jakiś jej syn rzucał. Wchodzę do sieni, a ona do mnie z parasolem. No jak jej przypierdoliłem, to później na loli został jej pęk włosów zlepiony krwią. Jak skalp.

Kaprał Nitrzański głośno śmiał się na wspomnienie o służbie w Zmechanizowanych Odwodach Milicji Obywatelskiej. Gdy śledczy weszli

w wir przesłuchań, podniesiony na duchu pojechał zrobić rewizję w domu matki Lesiaka. Prokurator Jasiński uczestniczył w przeszukaniu mieszkania Barańskiego. Po całym dniu intensywnej pracy wszyscy byli wyczerpani. Zebrał się w gabinecie Moczковского. Jasiński wyraźnie zaznaczył, że nie życzy sobie palenia papierosów. Kostecki zbyt długo znał szefa, by nie wiedzieć, że w jego głowie narodził się dokładny plan zabicia oskarżyciela.

Zaczął Jasiński.

- Całkiem niezły plan. Nikt z przesłuchanych nie potwierdził zeznań Barańskiego. Ten Jakubiak twierdzi, że co prawda zna Barańskiego i pozostawał z nim w kontaktach cielesnych, ale nie piętnastego maja 1985. Jego zeznanie potwierdzają inni bywalcy tak zwanych pikiet. Nikt z nich nie zauważył, by w dniu piętnastego maja Barański z Jakubiakiem razem gdzieś odchodzili. Nikt też nie widział Barańskiego rano. Ani ci spod teatru, ani ekipa z okolic dworca Łódź Fabryczna! Świadkowie zeznali, że Barański pojawił się dopiero po południu! Wszyscy przesłuchiwanym zgodnie zeznali, że Barański, szczególnie po spożyciu alkoholu, wygrażał Karlickiemu. Po prawie każdej libacji Barański miał grozić, że porachuje kości profesorowi. Dobrze, co? Musimy jeszcze zrobić rewizję u niego w mieszkaniu. Może coś ciekawego znajdziemy. Tym zajmiemy się w najbliższych dniach.

Jasiński triumfalnie popatrzył na zebranych.

- Teraz ten Lesiak. Na razie nic na niego nie mamy. Poza tym, że nikt nie potwierdza, jakoby zbierał złom oraz makulaturę. Wysłałem tego wielkoluda Nitę...

Jakby wywołany do tablicy, stanął w drzwiach kapral Michał Eugeniusz Nitrzański, przez kolegów z ZOMO nazywany Nitą. Pseudonim szybko przyjął się wśród łódzkich śledczych.

- Melduję, że cały dzień szukaliśmy we wskazanej okolicy ulicy Dubois. Nikt z mieszkańców nigdy nie słyszał takiej nazwy. Absolutnie nikt! Byliśmy tak zdeterminowani, by ją znaleźć, że nawet...

- Co nawet? - Moczkowski wypalił.

- Posunęliśmy się do argumentów prewencyjnych...

Kostecki spojrzał na Jasińskiego. Na twarzy prokuratora tańczyła wściekłość. Bezsilność wywijiała hołubce. Frustracja wystukiwała rytm kujawiaka. Gniew tętnił pulsem mazurka.

- Ja pierdolę - wypalił prokurator. - Ludzie mają was za skończonych kretynów. Śmieję się z was! Dubois to francuskie nazwisko. Wymawiamy Dibula!

Następnego dnia śledczy mieli wejść do mieszkania zajmowanego przez Barańskiego oraz do mieszkania matki Lesiaka, zamieszkałej na ulicy Stanisława Dubois. Rano ekipa śledczych wkroczyła do lokalu przy ulicy Podhalańskiej. Właściciel mieszkania, które wynajmował Barański, pan Karoliński, był zszokowany.

- Czego to ludzie nie wymyślą? Żeby tak chłop z chłopem, i to, za przeproszeniem, w odbyt...

- Od kiedy obywatel Barański wynajmował mieszkanie? - zapytał Banasik.

- Od trzech lat. Może od czterech? Nie, na pewno od trzech.

- Rozumiem, że uiszcza pan adekwatny podatek?

- On rzadko płacił, ten Barański, znaczy się. Często płacił za kilka miesięcy z góry taki starszy... - Właściciel lokalu błyskawicznie zmienił temat.

- Ten? - Jasiński błyskawicznie pokazał zdjęcie profesora Karlickiego.

- Tak. To ten. Ostatnio był pod koniec kwietnia. Zapłacił za trzy miesiące i powiedział, że dalej płacić nie będzie.

Przeszukanie mieszkania podejrzanego z punktu widzenia śledztwa nie przyniosło niczego ciekawego. Natomiast uwagi milicjantów i prokuratora nie uszły różnej maści podziemne wydawnictwa, w których szkalowano socjalistyczny system i podważano sens strategicznych sojuszy PRL. Wszystkie te materiały zostały zabezpieczone.

Po kilku godzinach śledczy przenieśli się na południe Łodzi. Matka podejrzanego Lesiaka mieszkała w starym domu z małym ogrodem. Brak pracy syna zmuszał ją do energicznej uprawy warzyw i owoców. Przez kilka lat miała nawet kury. Przed domem znajdował się zielony hydrant, który dawał wodę całej społeczności ulicy.

Po okazaniu stosownych dokumentów ekipa śledczych rozpoczęła przeszukiwanie. Matka Lesiaka spoglądała na wszystko ze spokojem. Przeżyła swoje w latach siedemdziesiątych, gdy rewizje w mieszkaniu były normą, podobnie jak pobyty jej syna w areszcie. Kobieta miała śniadą twarz, od częstego przebywania na słońcu, i pokrytą bruzdami, wrytymi przez życiowe katastrofy: śmierć męża w fabryce, pobyt w szpitalu po ciosie nożem zadany przez konkubenta, pobyt w więzieniu za nielegalny handel mięsem. Problemy życiowe syna traktowała nie jak katastrofy, tylko drobne życiowe perturbacje.

- Znowu się polityką zajął? - pech chciał, że zapytała Nitrzańskiego.

- Nie, zabił swojego gacha - odpowiedział kapral. Matka Lesiaka dosyć szybko zmieniła klasyfikację życiowych kłesk swojego jedynego syna.

Wydawało się, że w domku niczego ciekawego nie ma, jednak bystre oko Kosteckiego nie zawiodło. Wobec permanentnego deficytu życia erotycznego i uczuciowego, Tadek uważnie lustrował stosy makulatury w poszukiwaniu zdjęć nagich pańienek. Takowe zdjęcia bywały w „Razem” oraz w „Panoramie”. Sokoli wzrok Tadeusza szybko je namierzył. Po chwili nad stosem pożądanых gazet ślęczeli śledczy.

- O kurwa! - zawołał Jabłoniak.

Wśród gazet dominowały takie, z których wycięto duże, kolorowe litery. Po dłuższej analizie zapewne dałoby się ustalić treść napisów utworzonych poprzez naklejanie na papierze słów. Po kwadransie znaleziono kilka tubek kleju Lepkol oraz kilka flaszek gumy arabskiej.

- Szukamy listów? - zapytał w swoim stylu Nitrzański.

- Ich tu nie ma! - wrzasnął prokurator.

- A gdzie są? - Nita nie dawał za wygraną.

- W warszawskim mieszkaniu profesora - ryknął Jasiński.

Rozdział 15

Intuicja prokuratora nie myliła. W mieszkaniu profesora Karlickiego znaleziono kilka listów, w których grozono mu śmiercią i ogólnie zemstą za zniszczone życie. Wszystkie litery, z których ułożone były napisy, pochodziły z „Razem” i „Panoramy”. Wszystkie miały świetnie zaznaczone linie papilarne Lesiaka.

- Pozostaje pytanie, który z nich? - prokurator powoli kończył odprawę.
- Obaj konsekwentnie nie przyznają się do winy - powiedział Kostecki.
- Ustalę. Najważniejsze, że mamy mordercę.
- Co z ewentualnymi zleceniodawcami? - tym razem odezwał się

Banasik.

- Nic nie wskazuje na to, by takowi byli. Zważywszy jednak na to, że obaj byli inwigilowani przez SB, istnieje jakieś domniemanie. Ale to nie jest nasza sprawa. Ewentualnymi mocodawcami niech się zajmie Zarząd Ochrony Funkcjonariuszy. My zrobiliśmy swoje.

- Żaden z podejrzanych nie znał Babickiego - wtrącił się Kostecki.

- Tak mówią. Nie wiemy, czy nie kłamią. To po pierwsze. Po drugie nie mają solidnego alibi na dzień trzydziestego kwietnia bieżącego roku. Jak dla mnie zebrany materiał dowodowy jest tak silny, że nie będę mieć problemu z udowodnieniem winy. Odpowiedz na pytanie, który z nich zabił, znajdzie w ciągu kilku dni. Bardziej skłaniam się, by za mordercę uznać tego Barańskiego. Rzeźbiarz. Drewnianego penisu łatwo jest wyrzeźbić.

Ostatnie dni maja bardziej przypominały wiosnę niż początek miesiąca. Kostecki zamówił najpierw piwo. To samo zrobił Nitrzański. Dopiero gdy ugasił pragnienie, sięgnęli po wódkę. Siedzieli w Kaskadzie. Ceny tu były wysokie. Kostecki zarabiał godnie. Lepiej niż wielu łodzian. Jednak wyższość jego poborów starczała na dwie, góra trzy biesiady w lokalu klasy Kaskady. Zresztą owe biesiady nie były lukullusowymi ucztami. Tadeusz wodził wzrokiem po pięknej blondynce, która siedziała w towarzystwie jakiegoś jegomościa. Porucznik wy tężył słuch. Od stolika piękności dochodziły słowa w języku Szekspira.

- Ciekawe, ile bierze? - zapytał kapral.

- Równowartość pięćdziesięciu dolarów. A najlepiej pięćdziesiąt dolarów. Mogą być marki.

- Widzę, że się znacie...

- Moje pobory wystarczają na bardzo okazjonalną znajomość.

Kostecki chlupnął. Nitrzański uważnie mu się przyglądał. Tadeusz patrzył na prostytutkę. Na imię miała Grażyna. Ale używała pseudonimu Wiola. Dla cudzoziemców ksywka była łatwiejsza do wymówienia. Tadeusz dwukrotnie miał możliwość spędzić czas w objęciach niewiasty. Bardzo mile ten czas wspominał. Grażyna również. Dużo kosztowało ją zachowanie odpowiedniego dystansu, świadczącego o profesjonalnym podejściu do zawodu. Miała dwadzieścia siedem lat oraz pięcioletnią córkę. Jej marzeniem było wyjechać z Polski, najlepiej z mężem cudzoziemcem. Gdyby plan się nie powiódł, miała wyjechać bez męża, ale z odpowiednim plikiem dewiz ułatwiających start na obczyźnie. Kosteckiego lubiła. Nawet bardzo. On też ją lubił. Nawet bardzo.

- Na kurwy to najlepiej jechać do Częstochowy. Podczas pielgrzymki - zagał kaprał.

- Podczas pielgrzymki?

- Najlepsze są kurwy katolickie, bo są tanie i nie udają. Dają dupy, bo lubią, a nie za kasę. Jak byłem w ZOMO, to rzucili nas do zabezpieczania pielgrzymek w Częstochowie. Z Katowic blisko, pewnie dlatego. Na potrzeby imprezy dostaliśmy miejscowego oficera, a nie tego naszego skurwysyna z Katowic. Równy chłop z tego częstochowianina. Od razu wyczuliśmy, że facet lubi się zabawiać. Po służbie dał nam znak, że możemy sobie pofolgować. Udało się skombinować jakieś cywilne szmaty i wio. Najpierw rzecz jasna do monopolowego. Część flaszek zrobiliśmy w radiowozie. Tego radiowozu to pilnowali później koledzy z Opola. Odwdzięczyliśmy się następnego dnia. Gdy oni poszli w tan. Potem kolega zaproponował, byśmy poszli na pole namiotowe. Długo nie szukaliśmy. Patrzą, dwie takie szprychy rozglądają się wkoło. No to podszedłem i pytam, co i jak, co tu robią i takie tam gadki szmatki. One do mnie, że przyjechały się pomodlić. Mieli tu czekać na nie ich chłopcy. Ale chłopców nie ma. One namiotu nie mają. Kasy też za dużo... No to zaraz zacząłem myśleć, jak dziewczynom ulżyć w biedzie. Kolega miał służbę przy takim motelu, na obrzeżach miasta. Fajnie się ustawił. Dogadał się z właścicielem parkingu. Ten parkingowy robił taki myk, że zastawiał wjazd na parking żukiem, że niby miejsc już nie ma. Zdesperowani kierowcy pytali tego mojego kumpla, gdzie mogą zaparkować. No to ten mój koleżka mówił, że

właściwie wszystkie miejsca zajęte, ale może coś się uda załatwić z parkingowym. Ale wicie, rozumiecie... Oni wili i rozumili. Dawali w łapę. Kolega dawał znak właścicielowi parkingu. Kierowca płacił za bilet wstępu dawał wziętka za to, że mógł kupić ten bilet. Wziętkiem kolega dzielił się z parkingowym. Czysty zysk! Ale wracam do rzeczy, ten właściciel parkingu miał też motel. W końcu mamy reformę gospodarki i rząd zapala zielone światło dla prywatnej inicjatywy. Tak sobie pomyślałem, że muszą być jakieś miejsca w tym motelu. Takie dla specjalnych gości. Kolega, jak tylko usłyszał o moim pomysle, pobiegł po ten radiowóz, co go pilnowały chłopaki z Opola. W motelu oficjalnie miejsc nie było. Oficjalnie. Dla nas się znalazły. Z łazienkami. Nie trzeba było za każdym razem wychodzić na korytarz.

- Wiedziały, że jesteście z milicji?

- Pewnie! Pojechały z nami. Niby dlatego, że nie miały namiotu. Dziękowały, że milicja taka dobra. Jedna, druga flaszka pękła i dawaj. Hulaj dusza, piekła nie ma. Poruchaliśmy ostro. Rano te kurwy w płacz, że przyjechały się pomodlić, a skończyło się na chlaniu i dawaniu dupy zomowcom. Jedna z nich mówi, że jak już tak się zaprzyjaźniliśmy, to zostaną tu do końca pielgrzymki. Wyśmialiśmy je. Dwa razy do tej samej rzeki się nie wchodzi. Szczególnie podczas pielgrzymki. Następnego wieczoru znów pojechaliśmy na pole namiotowe. Tym razem napatoczyły się hipiski. Mój Boże, jaki ten świat dziwny. Hipisi w Częstochowie... No nic, najważniejsze, że dały dupy. Tyle że kumpel, który pierdolił taką czarnulkę, to potem miał trypra. Wniosek z tego taki: jak jesteś na pielgrzymce, to ruchaj katolickie kurwy, a nie hipisowskie.

Kostecki doszedł do wniosku, że służba w ZOMO daje więcej życiowego doświadczenia niż studia w Szczytnie.

Rozdział 16

Czerwiec był wyjątkowo ciepły. Na basenie Anilany kłębiły się tłumy. Kostecki jednak nie zapomniał o tym, by wpaść do sauny. Amatorów wypacania się w taki upał nie było zbyt wielu. Na ławeczkach saunowych siedziało raptem czterech dżentelmenów. Jednym z nich był Stanisław Jodko, który pomachał do porucznika, gdy ten, odziany w ręcznik, wszedł do buchającego ciepłem pomieszczenia.

- Kolejny skarb pan znalazł? - wesoło zagadnął Kostecki.

- A żeby pan wiedział! - niemal wykrzyknął przedstawiciel prywatnej inicjatywy. Wszyscy saunowicze z ciekawością spojrzeli na pana Stanisława, a ten zaczął opowiadać.

- Rozbieraliśmy stary dom na Kilińskiego. Ciężko szło, bo dom, mimo że pożydowski, zrobiony był z dobrych materiałów. Nagle okazało się, że burzona ściana nie opada na trawę, tylko znika. Pomyślałem sobie, że to jakiś przeklęty dom. Jaki dybuk go pilnuje. Okazało się, że w domu była skrytka, a w niej, niech pan zgadnie...

- Skrzynka z diamentami - powiedział Kostecki.

- Prawie. W skrytce był nowusieńki model BMW z 1938 roku. Dasz pan wiarę? Myślę sobie: zgłoszę, by mnie władza nie szarpała. Okazało się jednak, że państwo nie rości sobie żadnych praw do tego auta. Gdybym znalazł coś w ziemi... Jak w ziemi, to państwa. Jak nie w ziemi, to państwo umywa ręce. Przynajmniej w tej sprawie. Okazało się, że ten dom przed wojną należał do doktora Platenberga. Pomyślałem, może kto żyje z krewnych? Niech weźmie to cacko. Ja już swoje zarobiłem. Dzieci mam odchowane. Wnuki w drodze. Po co mi? Sprawdziłem. Cała rodzina Platenbergów zginęła w getcie. Z formalnego punktu widzenia mogłem sobie tę beemkę zabrać. Myślę sobie: na co mnie ona? Jak zacząłem szukać kupca, to oczy mi się szeroko otwierały. Okazało się, że to jakiś limitowany model. Wersja sportowa. Robiona na specjalne zamówienie. Dzięki rodzinie, co to w RFN wolność wybrali, znalazłem już kupca. Właściwie to już do końca życia mogę sobie bimbać. Ten PRL nie taki zły, jak człowiek nie boi się brać życia we własne ręce.

- Jak pan trupa znajdzie, to niech pan mnie da znać - zaśmiał się Kostecki.

Po wyjściu z sauny porucznik solidnie się umył i śmiało ruszył na umówione spotkanie. Pani Danuta nie przestawała szukać drugiej połowy dla Tada. Podczas kiermaszu z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka Kostecki poznał „przez przypadek” piękną Monikę. Ta niespełna trzydziestoletnia niewiasta przyszła na kiermasz ze swoim synkiem. Tata Rafałka od dwóch lat przebywał w Szwecji i nie interesował się trzylatkiem. Monika była niezwykle chętna do szybkich kroków w pogłębianiu znajomości, co Tadeuszowi bardzo się podobało. Randka, ze względu na upał, miała się odbyć na kąpielisku Fala, które było dumą miasta bez rzeki. Ze względu na kolejki starszy syn Jabłoniaka zamiast pójść do szkoły, za wiedzą ojca, czatował w kolejce po bilety. Nie zawiódł. Gdy Kostecki całował usta pięknej Moniki, urwis trzymał kolejkę. Weszli w strefę basenową. Kostecki zapomniał o bożym świecie. Sielankę przerwał kapral Nitrzański. Po wysłuchaniu jego relacji Kostecki przeprosił Monikę i poszedł się ubrać.

- Przystojny ten porucznik - zakochanym głosem powiedziała Monika do byłego zomowca.

- Pielęgniarki w wariatkowie też tak mówiły - odpowiedział kapral.

Gdy Kostecki wrócił z przebieralni, zastał tylko Nitrzańskiego.

- Poszła sobie - lakonicznie powiedział kapral.

Radiowóz zawiózł porucznika na cmentarz na tak zwanych Dołach. Upał powodował, że kłębiły się tam wdowy, które przyszły odwiedzić groby swych mężów. Zwiedzone instynktem szczerze oblepiły zrozpaczonego pracownika nekropolii, który próbował przykrywać jakąś płachtą ciało księdza, leżące przy jednym z grobów. Pech chciał, że zerwał się wiatr, prawie martwy do tej pory. Płachta więc co raz podnosiła się do góry, ukazując wdowom makabryczny widok. Sutanna księdza była rozpruta w kroczu. Z rozprucia wystawał mocno okrwawiony penis kapłana.

- Ja pierdolę - Kostecki po swojemu przywitał się z trupem, wdowami, pracownikami zakładu i kolegami z pracy, którzy tak jak on właśnie stanęli przed grobem. Jabłoniak nie odpowiedział na salut kolegi, patrzył jak oniemiały. Jednak nie na denata, ale na grób, przed którym doszło do tragedii. Kostecki natychmiast podążył za spojrzeniem kumpla.

- Kurwa, ja pierdolę - skomentował po swojemu.

- Skaranie boskie z wami, bolszewikami - jakaś wrażliwa wdowa dała wyraz swej dezaprobaty dla zachowania Tadeusza.

Kostecki wdowy nawet nie zauważył. Patrzył na grób. Kwiaty już przywędły lub uschły, jednak tu i ówdzie można było dopatrzeć się popłuczyn po świeżości. Na tablicy białą farbą wymalowano personalia zmarłego. Nie było jednak standardowej formułki „pokój jego duszy”. Znajdowali się na cmentarzu komunalnym. Gdyż żaden z księży nie chciał pochować jawnego homoseksualisty, który na dodatek otwarcie kwestionował istnienie Boga. Z tablicy Kostecki dowiedział się, że profesor Karlicki żył lat 66, a nie 65, jak się dotąd porucznikowi wydawało.

Pracownik kancelarii chaotycznie opowiadał. Nie musiał już poprawiać krnąbrnej folii. Ta milicyjna była solidna i wiatr jej nie podwiewał.

- Była szesnasta, zamykałem kancelarię cmentarza. Nagle zobaczyłem jakiegoś człowieka. Zachowywał się bardzo dziwnie. Zaczął uciekać, jak mnie zobaczył. Jakby krwawił. Uciekł, a ja po krwawych śladach doszedłem do tego miejsca i zobaczyłem to...

Kostecki przyjrzał się śladom krwi. Doszedł do wniosku, że zabójca wcale nie musiał być ranny. Ślady na ścieżce były minimalne. To co pracownik cmentarza wziął za krwawienie najprawdopodobniej było krwią zabitego, która ściekała z narzędzia zbrodni. Najpewniej noża.

Następnego dnia na Lutomińskiej Banasik, Kostecki i Jabłoniak wysłuchali słów doktora Andrzejewskiego.

- Żadnej historii tu nie ma. Ksiądz zginął od ciosu nożem w serce. Tym samym nożem napastnik próbował odciąć genitalia. Nie udało mu się to do końca. Pewnie go ktoś spłoszył.

Po odejściu patologa głos zabrał Banasik.

- Co o tym sądzicie?

- To prawie niemożliwe, żeby miejsce zbrodni było przypadkowe - powiedział Tadeusz. Wszyscy pokiwali głowami. Tadek mówił dalej:

- Poprzednie śledztwa mamy zamknięte. Jasiński wypuścił Lesiaka i oskarżył tego rzeźbiarza. Trudno się dziwić. Jednak jeżeli wczorajsza śmierć tego księdza ma związek...

W gabinecie zapadła cisza. Kostecki chciał przekląć i zapalić. Klął w myślach, z paleniem musiał się wstrzymać. Walcząc z nałogiem, powiedział:

- Jeżeli miejsce zbrodni nie jest przypadkowe, to znaczy, że mordercą jest ktoś inny. W oskarżaniu Barańskiego o podwójne morderstwo nie pasowało mi, że ofiary się nie znały! Babicki nie miał żadnych kontaktów ze światem gejowskim. Żadnych! Motyw Barańskiego względem profesora był

jasny: poczucie żalu po odrzuceniu, chęć zemsty. Ale wobec Babickiego? Jedynym punktem zaczepienia prokuratora wobec relacji, nazwijmy to Babicki-Barański, był brak alibi rzeźbiarza. Uważam, że to trochę mało. Jednak trudno mieć do Jasińskiego pretensje, że skupił się na Karlickim. Właściwie wszystko przemawiało za tym, by Barańskiego przyznać.

- Co wiemy o tym księdzu? - zadał pytanie Banasik.

Dawny prymus Jabłoniak jak zwykle był przygotowany.

- Jan Majerski. Lat sześćdziesiąt pięć. Pracował w parafii pod wezwaniem świętego Józefa w małej wsi na Dolnym Śląsku.

- Związki z opozycją? - zapytał Kostecki.

- Wręcz przeciwnie. Facet ma teczkę w SB, ale jako TW.

- Kurwa jego mać! - Kostecki nie wytrzymał. Musiała minąć dłuższa chwila, nim Tadeusz przeprosił Banasika za swój wybuch.

- Wszystko poza wiekiem ich dzieli, poza wiekiem - powiedział już spokojnie Kostecki.

- Babicki i Karlicki bywali w Łodzi. A ten ksiądz? - zapytał Banasik.

- Jeżeli bywał, to chyba bardzo rzadko. Jego matka umarła dwadzieścia lat temu. Ojciec nie przeżył wojny. Podobnie jak starszy brat. Dzieci nie miał... Przynajmniej nie powinien mieć. Poza tym on na tym Dolnym Śląsku był proboszczem. Tacy proboszczowie, w takich pipidówkach, to mają przekichane. Ciągłe muszą tam siedzieć. Możliwość podróży bardzo ograniczona. Możemy oczywiście ustalić, czy bywał w Łodzi, ale to potrwa - Jabłoniak klarował treściwie.

- Jeżeli znał profesora, a wszystko wskazuje na to, że znał, to nie przyjeżdżał do Łodzi, tylko do Warszawy. Karlicki mieszkał w stolicy. W Łodzi został pochowany. Taka była decyzja brata - rzekł Tadeusz.

- Nic się nie klei - podsumował Banasik.

Zapadła cisza. Kapitan pocierał łysiejącą głowę. Po chwili rzekł do Kosteckiego.

- Mało nas. Jedź do Bogdanki po tych dwóch nowych. Chyba już opracowali program występu artystycznego na festiwal milicyjnych zespołów.

Kostecki odmeldował się i pojechał w kierunku Kuluszek. Na miejscu zastał widok, którego się spodziewał. Poruczników Owczarka i Krawczyka znał tylko ze słyszenia. Przybyli do Łodzi, gdy prowadził śledztwo na południu Polski. Niemal natychmiast zostali odkomenderowani do Bogdanki, by przygotować występ na festiwal amatorskich zespołów

milicyjnych. Milicja miała fatalną opinię w społeczeństwie. Po zamordowaniu Popiełuszki reputacja sięgnęła dna. Władze robiły wszystko, by ocieplić wizerunek stróżów prawa. Sprawnie przeprowadzony festiwal miał poprawić oblicze MO. Komiksowy kapitan Żbik wyraźnie się zestarzał. Filmowy porucznik Borewicz też dobiegał wieku dojrzałego z plusem. Potrzebni byli gliniarze młodzi, prężni, nowocześni. Grający na gitarach i na perkusjach. Zespół reprezentujący województwo łódzkie trenował w Bogdance, nieopodal miejscowego PGR-u, w mieszkaniu porucznika Stefana Pająka, który słynął z zamiłowania do poezji i gry na gitarze. Gdy Tadeusz wyszedł z samochodu, usłyszał odgłosy próby. Okna były otwarte. Świeciło słońce. Sala prób wyglądała dokładnie tak jak ją sobie wyobraził. Butelki walały się wszędzie. Dominowały szkła po wódce, ale z mocno zniszczonymi etykietami. Tadek skonstatował, że jeszcze niedawno musiały być wypełnione bimbrem. Obok nich leżało sporo flaszek po jabolach. Szklanych opakowań po piwie też nie brakowało. Pająk brzdąkał na gitarze, Bartłomiej Krawczyk stukał w perkusję. Michał Owczarek na niczym nie grał. W zespole miał śpiewać. Gospodarz na widok Kosteckiego bardzo się ucieszył. Owczarek z Krawczykiem rzucili się, by uściskać rękę na powitanie. Pająk z godnością pełnił funkcję mistrza ceremonii powitalnej. Z emfazą wołał.

- Nie znacie się. Ale się poznacie. Wódki!

Na zawołanie kapelmistrza Krawczyk przytaszczył wielką flachę bimbru. Owczarek rozlał do musztardówek. Wypili. Tadeusz najpierw strzelił niedźwiedzia z wokalistą, a po następnej kolejce z perkusistą bandu.

- Macie jakąś nazwę? - zapytał Kostecki.

- Pewnie - odrzekł Pająk.

- Wesołe Lolki, tak się nazywamy - zaśmiał się Krawczyk.

- Lolki?

- Od Loli, czyli pały szturmowej - odpowiedział zadowolony Owczarek.

- No bo jak by to brzmiało, gdybyśmy się nazwali Wesołe Lole? Trzech facetów... Dlatego Lolki - wyjaśnił Pająk.

- Rozumiem - odrzekł Kostecki.

Pająk poczuł przypływ energii.

- To co, chłopaki? Damy czadu? Pokażemy Tadzikowi nasz hit na festiwal?

W odpowiedzi brzdęknęły słoiki po musztardzie, w których bulgotała księżycówka. Michał Owczarek nadął się i z całej siły zaczął śpiewać:

- W milicji fajno jest, MO jest de best, bandyci dostają fest po ryju, UUUU!!!! A na dokładkę patrzymy na sąsiadkę, a ona mówi nam: będę jedną z tych mam, które szczęśliwie zrodzą dziecko TO, MO, MO, MO.

Refren śpiewali we trzech. Rycząc w niebogłosy. Utwór miał skoczną nutę i wyraźnie nawiązywał do rockowych szlagierów. Po efektownym przejściu perkusisty frontman zaczął śpiewać drugą zwrotkę.

- Nie boimy się złych słów, bo każdy z nas jest zuch i w ordynku stanie w mig, by zgłuszyć słowo złe. SB, SB, SB.

Refren po raz wtóry wykonali wspólnie. Piosenkę zakończyła gitarowa solówka w wykonaniu Pająka. Kostecki nagroził występ brawami, a następnie zwrócił się do Krawczyka i Owczarka:

- Jutro macie stawić się na Lutomierskiej.

- Na jakiej Lutomierskiej? - krzyknął Pająk. - Jeszcze balladę musimy zmontować.

- Banasik wzywa.

W odpowiedzi Pająk poprawił gacie i rzekł z patosem:

- My tu tworzymy sztukę. Tylko Kiszczak może nas zapędzić do roboty. Jesteśmy na specjalnych urlopach. Jak Banasik chce, by chłopcy wrócili na Lutomierską, to rozkaz ma być na piśmie. Dzisiaj nigdzie nie jadą, ani jutro, ani pojutrze. Mam w głowie balladę. Słowa już ułożyłem. Chcesz posłuchać?

Kostecki sięgnął po szklanekę, wychylił zawartość jednym haustem i dał znać, że jest gotowy do wysłuchania słów pieśni. Pająk wstał. Odłożył gitarę i zaczął recytować.

- Trafiła cię kula złowroga naszego klasowego wroga, lecz nim padłeś niejedno serce skradłeś. Teraz te serca płaczą i bardzo dużo znaczą, dla nas, następców twoich, którzy o porządek walczą, o prawo do pracy, bez strajkowych podżegaczy, bez solidarnościowej ekstremy, bez kapeenowskich złodziei, stoimy, ludzie idei. To pierwsza zwrotka. Niezłe, co?

- Ta... po prostu wzruszające.

- Idziemy po pierwsze miejsce. Nie ma chuja na Maryskę - zawołał Krawczyk.

W odpowiedzi Owczarek postanowił naoliwić gardło substancją z wielkiej butli.

Rozdział 17

- A więc został tylko wiek - powiedział doktor Bukowczyk.

Lato nie pukało, ale waliło do drzwi. Temperatura podchodziła pod trzydzieści stopni. Świeciło gorące słońce, ale w cieniu starych drzew w Kochanówce było bardzo przyjemnie. Bukowczyk miał dyżur, zostawał w szpitalu na noc. Lubił Kosteckiego. Zawsze chętnie z nim gawędził. Poczęstował Tadeusza jakimś dziwnym zielonym sokiem.

- Dobrze. Co to za sok? - zapytał Kostecki.

- Z kiwi.

- Kiwi?

- Taki owoc. Podobny do mandarynki, tylko zielony.

- Córka przesłała?

- Tak. Ma tam solidne stypendium. Dorabia sobie sprzątaniem. Mam nadzieję, że tam zostanie, znajdzie męża i ściągnie ojca. Mam dosyć życia w PRL.

- Ja czasami też.

- Wracając do pana trupów. Jeżeli ten ksiądz do Łodzi nie przyjeżdżał...

- Sprawdziliśmy hotele, schroniska. Kuria poszła nam na rękę, ustalili, że żaden z łódzkich ani podłódzkich księży nie gościł tego proboszcza z Dolnego Śląska.

- Czyli zostaje panu tylko wiek. Atakuje ludzi w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. To panu zostaje.

- Ale, u licha, dlaczego tych, a nie innych? Mało jest w Łodzi facetów w wieku emerytalnym?

- Coś ich musi łączyć.

Kostecki dopił sok. Pożegnał się z doktorem i poszedł do wyjścia. Na portierni dostrzegł ścienną gazetkę z piłkarzami.

- Podoba się panu?

- Panie Mieczysławie! Gdyby wszyscy polscy piłkarze podchodzili do obowiązków z taką pilnością jak pan do robienia gazetek, to bylibyśmy mistrzami świata, Europy. Lech Poznań miałby puchar UEFA, Górnik z Zabrze PZP, a Widzew? Wiadomo - Puchar Mistrzów!

Z Kochanówki KostECKI pojechał do Kaskady. Co prawda przeznaczone na pobyt w tym ekskluzywnym lokalu pieniądze były na wykończeniu, ale tym razem wódkę miał stawiać kto inny. Kim był sponsor, Tadeusz miał się dowiedzieć wieczorem. Na porucznika czekał już kapral Nitrzański.

- A nasz sponsor? - zapytał Tadeusz.

- Zaraz będzie. To szycha z komitetu wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim.

Po kwadransie wszedł do lokalu jegomość odziany w jasną marynarkę. Miał na oko sześćdziesiąt lat. Podeszedł do lady i zamówił butelkę wódki z colą. Po chwili przysiadł się do milicjantów. Facet z Piotrkowa, po kilku lapidarnych zdaniach o pogodzie, przeszedł do sedna.

- Chodzi o to, że...

Zapadła cisza. Szycha z komitetu wojewódzkiego miał jakiś dylemat. Wypił zawartość kieliszka i popił colą. Sapnął. Westchnął. Nitrzański nalał mu kolejną porcję. Działacz wypił. Znowu sapnął. Rozejrzał się po knajpie. Nie było tłumów. Zebrał się w sobie i zaczął mówić.

- Rozchodzi się o to, że mam syna. Mój syn jest idiotą. Ale syn to syn. Zakochał się. Chuj. Każdemu może się zdarzyć. Ale on się zakochał w kurwie. Takiej prawdziwej, dewizowej. Kurwa nie w ciemną bita. Zaszła w ciążę. Dobrze to rozegrała. Nie chciała usunąć. Ten mój głupi chłopak świata poza nią nie widzi. Trudno. Syn to syn, chociaż głupi. Ślub wzięli, wesele wyprawilem. Myślę sobie, chuj, jakoś to będzie. Byle ludzie nie gadali.

Nitrzański wyczuł, że kontrahent potrzebuje naoliwienia gardła. Do kieliszków trafiła kolejna transza trunku. Piotrkowianin sapnął, potem westchnął. Kontynuował:

- Ale mogą gadać... Otóż zgłosił się do mnie były alfons mojej obecnej synowej. Kurwa, jak to brzmi. Jak chuj. To brzmi jak chuj. Ale syn to syn. Nawet jak idiotą. Ten alfons mnie szantażuje. Mówi, że jak mu nie zapłacę dwóch milionów, to on zacznie pisać do rodziny, do towarzyszy z PZPR, do władz wojewódzkich. Ma zdjęcia mojej synowej. Kiedy była jeszcze kurwą. Odważne te zdjęcia. Nie ma co gadać. W tej sprawie przychodzę.

- Jesteśmy otwarci - powiedział kapral.

- Chodzi o to, byście, panowie...

- Przypierdolili temu alfonsowi - dopowiedział Nitrzański.

- Właśnie. O to chodzi.

- Ile pan wrzuca na stół? Czy woli pan, byśmy mówili do siebie per „towarzyszu”?

- Zostańmy przy panach. Proponuję dwieście tysięcy. Po stówce na głowę.

Kosteckiemu świat zawirował przed oczami.

- Kiedy? - rzeczowo zapytał były zomowiec.

- Im szybciej, tym lepiej. W sobotę ten alfons będzie się bawił w zajezdzie. Przy drodze wylotowej na Warszawę.

Gdy obie strony dograły szczegóły transakcji, na stole pojawiła się kolejna flaszką wódki. Potem następna i jeszcze następna. Impreza dobiegł końca o drugiej w nocy.

Rozdział 18

- Fatalnie grali - skomentował Jabłoniak występ Widzewa. Siedzieli przy kawie na Lutomierskiej. Słońce prażyło. Kostecki pomyślał o urlopie. Miał go rozpocząć za kilka dni.

- Fatalnie? Beznadziejnie! Te cioty z Katowic też nie lepiej. Rzygałem z nudów.

- Dobrze, że mamy Bolestę.

- Taaa... Godny następcą Młynarczyka.

- Zawdzięczamy mu puchar!

- Pierwszy w dziejach Puchar Polski! Wymęczony, ale zasłużony!

Dopili kawę. Po chwili milczenia Kostecki zapytał:

- Gdzie na urlop?

- Nigdzie! Na szczęście! Wysyłamy chłopców na kolonie, a sami z Danką zamykamy się w domu. Wskakujemy do łóżka i wyskakujemy tylko pod prysznic! Przecież jak chłopcy są w domu, to mam celibat! A przecież gdybym chciał zostać księdzem, to nie wstępowałbym do MO!

Kostecki niby się uśmiechnął. W rzeczywistości jego samopoczucie psychiczne wyraźnie się poprawiło. Dalszą rozmowę o celibacie, urlopie i koloniach przerwał kapral Nitrzański, który wpadł jak bomba do pomieszczenia.

W Kochanówce jak zwykle było rześko. Potężne drzewa chroniły przed upałem. Nitrzański zaprowadził ich w dosyć odległy zakątek parku. Na jednym z konarów wisiał człowiek. Na miejscu byli już lekarze z pogotowia oraz jeden z milicjantów, który pilnował zwłok. Był też Bukowczyk oraz pielęgniarki i inni lekarze. Bukowczyk podszedł do Tadeusza i powiedział:

- Prosił, bym panu powiedział, że był pan jego jedynym przyjacielem.

- Myśli pan, że to samobójstwo?

- Jestem pewien. On żył na krawędzi. Odkąd go znam miał myśli samobójcze. Były okresy lepsze i gorsze. Podczas tego procesu Eugenii Pol był w stanie krytycznym. Właściwie liczyłem się z tym każdego dnia. Ostatnio miał potężny kryzys. Ciągle mówił o samobójstwie.

- Ile miał lat?

- Rocznik 1937.
- W sumie młody facet.
- Zostawił coś dla pana.

Poszli do gabinetu. Milicjanci przy pomocy pracowników pogotowia odciepli ciało pana Mieczysława.

- Dla pana - doktor podał Kosteckiemu grubą kopertę. Kostecki rozerwał biały papier.

- „Kicker”. Wydanie specjalne na sezon 1984/85. Kredowy papier, piękne zdjęcia. - Kostecki gładził błyszczące wydanie „Kickera”.

- Oficjalnie kosztowało sześć marek. Kupił na Górnika za dziesięć. To dwie jego renty. Mówił, że wydał wszystkie swoje oszczędności. Chciał napisać dedykację: „dla mojego jedyne go przyjaciela”. Oraz dopisek: „my, wariaci, powinniśmy trzymać się razem”.

Kostecki poczuł, jak oczy pocą mu się bardziej niż pachy. Pociągnął nosem.

- Niech pan nie żałuje. Jego życie było koszmarem. Trafił do obozu, jak miał sześć lat. Jego rodzice byli komunistami. Wkładali do gazet meldunki i kazali mu roznosić po mieście. Zanim trafił na Przemysłową, wylądował na gestapo. Przeszedł normalną procedurę przesłuchania. Potem w obozie był bity, głodzony, zmuszany do ciężkiej pracy, ponad siły. Jego rodziców Niemcy zatłukli. Dalszą rodzinę wywieźli do Oświęcimia. Prawie wszyscy zginęli. Niektórzy zostali wywiezieni na roboty... Ktoś zginął na Radogoszczu. Gdy skończyła się wojna, miał osiem lat... Trafił do domu dziecka. Do wojska nie poszedł, już wtedy miał poważne problemy. Tracił każdą pracę. Potem odeszła od niego żona z dzieckiem. Na szczęście. Nie bił, nie był agresywny. Po prostu zatruwał życie. Wydzielał chleb. Budził dzieci w środku nocy i sprawdzał, czy nie schowały chleba pod łóżko. Koszmar. Życie całkowicie złamane. Gdyby jakimś cudem RFN wzięła na siebie odpowiedzialność za wojnę i wypłaciła ofiarom odszkodowanie, to jemu by to nic nie dało. Można zainstalować nowoczesną protezę, wstawić nowe zęby. Nie ma jednak leku na zmarnowane życie. Na procesie Eugenii Pol był świadkiem kluczowym. Bardzo ciężko to przeżył. Opowiadał, jak był w karnym baraku, gdzie gromadzono maluchy, które sikały w nocy. Bez ogrzewania, bez kocy, za to bite w ramach terapii. Adwokat pytał go, ile czasu zajmowało mu oderwanie zasikane go ubrania od zamrożonej pryczy. Nie umiał odpowiedzieć. Przestał być wiarygodnym świadkiem. Tak jak panu mówiłem, prawie tu mieszkał. Wychodził i wracał. Musiałem

dawać mu jakieś prace. Ciągłe pytał innych chorych, czy nie ukrywają chleba.

- Jak pan wytrzymuje w tej robocie?

- Nie piję i wierzę w Boga. Badałem ludzi, którzy przeżyli obóz. Byłem współpracownikiem profesora Kempnińskiego. Spośród tych, którzy przeżyli i stosunkowo najlepiej poradzi sobie z traumą, byli ludzie głęboko wierzący. Czasami księża. Ludzie głęboko wierzący mieli bardzo silną motywację do przeżycia obozu w sposób godny. Znajdywali analogie z życiem Jezusa. Cierpieli, mając poczucie sensu. Upadali na duchu, tak jak Jezus pod krzyżem. Wstawali jak On i szli dalej. Na koniec byli w stanie wybaczyć oprawcom. Rzecz ciekawa - w latach sześćdziesiątych badaliśmy z profesorem ludzi, którzy ukrywali Żydów. Prawie wszyscy jako powód ratowania bliźnich podawali argumenty wiary: bo Jezus powiedział... Wielu z nich miało ogromne problemy psychiczne. Ich trauma była często większa niż tych, których uratowali. Ocaleni Żydzi mogli wyjechać do Izraela, do USA lub choćby do jakiegoś odległego miasta w Polsce. Ratujący zostawali na miejscu. Zebraliśmy ogromny materiał do badań. SB zablokowała nasze prace. W realiach Marca 68 pisanie, że sprawiedliwi wśród narodów świata bali się bardziej polskich sąsiadów niż nazistów nie mogło wchodzić w rachubę.

- Nigdzie o tym nie czytałem...

- Temat z pogranicza tabu. Jednak w przypadku ludzi dorosłych wygląda to nieco inaczej. Dorosły ma wykształconą osobowość. Ma jakiś kościec moralny, religijny, ideologiczny... U dzieci jest inaczej. Są całkowicie bezbronne. Ich trauma jest nieporównywalnie większa niż dorosłych. Dorosłego, który był więźniem obozu jako osoba pełnoletnia, teoretycznie można wyprowadzić z traumy. W przypadku dziecka jest to praktycznie niemożliwe. Ten ból dziedziczą dzieci, wnuki, w jakiejś złagodzonej formie następne pokolenia. Dla nich wojna nie skończyła się w 1945 roku.

- Kiedy pogrzeb?

- Zawiadomię pana. Będę mieć dla pana odbitki różnych artykułów, z zagranicznych periodyków psychiatrycznych. Są po angielsku.

- Mamy specjalistów od tego języka.

- Nie wątpię.

- Myśli pan, że ten trzeci mord to kolejne dzieło tego samego zabójcy-artysty?

- Tak. Chociaż myślę, że ten ksiądz to ofiara trochę przypadkowa. Zabójca musiał być w pobliżu grobu ofiary. Chyba sam nie wiedział, że

zabił znaną osobę. Na pogrzeb przyszedli różni opozycjoniści, których mógł znać z mediów. Kręciło się sporo ludzi. Być może ten ksiądz był osobą przypadkową. Mógł nie znać profesora, może po prostu przechodził tamtędy... Zatrzymał się, zerknął. Może się przeżegnał, a może zwrócił uwagę, że na tabliczce nie ma znaku krzyża? Wiek się zgadza... Ksiądz nam tylko trochę nie pasuje, dlatego że narzędziem zbrodni był nóż, a nie młotek. Jednak motyw wyraźnie seksualny.

- Czyli wiek.

- Tak. Zabija ludzi w określonym wieku.

- Prokurator wcale nie jest pewien, że to morderca psychopata.

- Bo ma wróbla w garści. Mądry facet z tego prokuratora. Zmieni zdanie, gdy pojawią się następne ofiary.

- Twierdzi pan, że się pojawią.

- Tak. Tak sądzę.

W nocy Kostecki miał koszmary. Śnił mu się prokurator Jasiński, który biegał z drewnianym prąciem. Banasik gonił prokuratora z nożem. Moczkowski zaś miał w ręku karabin i mundur hitlerowca. Gdy Kostecki się obudził, było już rano. Napił się piwa i pomyślał, że nie ma z kim wyjechać na urlop. Wypił drugie piwo. Potem trzecie. Zaczął liczyć: paliwo, by dojechać, kwatery, żarcie w knajpach... Może nie pozna żadnej dziewczyny? Może nie warto jechać? Pogoda jest teraz fajna, ale oznacza to, że musi się kiedyś popsuć. Kiedy?

- W czasie twojego urlopu, chuju. - Zawsze był względem siebie krytyczny.

Rozdział 19

W sobotę Kostecki z Nitrzańskim spotkali się w zajeździe położonym na rogatkach Piotrkowa Trybunalskiego. Obaj mieli przy sobie fotografie alfonsa-szantażysty. Siedzieli w różnych kątach sali. Ich stroje nie rzucały się w oczy. Przed północą do zajazdu wszedł mężczyzna, na którego czekali. Nie był sam. Czujne oko Tadeusza natychmiast wychwytiło dyskretny urok ochroniarza. Plan był taki, że kolega kaprała z czasów ZOMO - obecnie milicjant drogowki - wejdzie do lokalu i zacznie wypytywać o właściciela samochodu marki BMW.

Restauracyjna sala pustoszała. Przy jednym ze stolików siedziało trzech całkowicie zalanych klientów, poza tym była jeszcze właścicielka zajazdu, która obsługiwała za ladą. Dobiegała pierwsza w nocy, gdy do zajazdu wszedł totumfacki Nitrzański. Zgodnie z ustaleniami zaczął wypytywać o właściciela luksusowego auta. Alfons wstał od stolika. Milicjant kazał mu otworzyć samochód, twierdząc, że sprawdza, czy pojazd nie jest kradziony. Sutener niechętnie wyszedł na dwór. Jego ochroniarz ruszył zaraz za nim. Kostecki zajął upatrzone stanowisko, gdy tylko zobaczył milicyjną sukę przed restauracją. Miał zająć się zneutralizowaniem ochroniarza. Alfonsa miał załatwić kaprał. Gdy mężczyźni wyszli z knajpy i ruszyli w stronę radiowozu, Kostecki ruszył za nimi. Obezwładnienie zaskoczonych obstawy alfonsa było proste. Gdy wykidająco leżał już na ziemi, do szantażysty podbiegł Nitrzański. Nie szczędził pięści. Z katowanej twarzy trysnęły fontanny krwi. W pewnym momencie Kostecki musiał interweniować, gdyż istniało podejrzenie, że przedstawiciel półświatka umrze na skutek pobicia. Gdy stłuczony sutener leżał w kałuży posoki, kaprał nachylił się i wyłuszczył, jakie są społeczne oczekiwania względem zachowania czci damy będącej członkiem rodziny partyjnego kacyka. Pobity wystękał, że przyjął do wiadomości treść informacji, a kaprał na pożegnanie kopnął go w jądra, po czym wyciągnął facetowi portfel z kieszeni.

- Idziemy - zakomenderował. Gdy odeszli, Nitrzański wyjął banknoty z portfela i zaczął je liczyć.

- Kurwa, ale się chuj obłowił - wysapał. - Dwieście tysięcy. Dwieście tysięcy! Niezły plon. - Dokumenty wyrzucił do krzaków. Po kilkunastu krokach wyrzucił też pusty portfel. - Jesteśmy do przodu ładny grosz.

Kostecki milczał. Za to kapral dzielił się refleksjami.

- Nie ma bardziej pojebanego systemu niż komuna. Tyrasz dzień w dzień na etacie i masz raptem około dziesięciu tysięcy. Idziesz w sektor prywatny i masz dwieście tysięcy w jedną noc. Mówię ci, Tadek, ten absurd nie może długo funkcjonować. Kilka lat i wszystko pierdolnie.

Kostecki nie komentował. Oczami wyobraźni widział się w łóżku z Wiołą. Nawet przez moment nie miał wątpliwości, na co wyda pieniądze.

Rozdział 20

Ulice opustoszały. Kto mógł, wyjeżdżał z miasta. Kostecki przesiadywał rankami samotnie w archiwum. Wieczory spędzał w ramionach luksusowej kurtyzany. Z zalem konstatawał, że łup z Piotrkowa Trybunalskiego powoli wysycha. Z uwagą przyglądał się kupce banknotów, których ubywało każdego wieczora. Nad ranem pani Wiola szła zająć się dzieckiem. Zaś porucznik uparcie szukał tropu w archiwum. Pracownicy placówki patrzyli na niego jak na wariata. Gdy urlop się powoli kończył, Tadeusz zawitał do prokuratora Jasińskiego.

- Nie nad morzem? - zagał Jasiński.

- Jeżeli chodzi o Bałtyk, to najlepszy jest ten, co go można wypić.

- A ja myślałem, że Bałtyk Gdynia. Warto było Filipczaka tam oddawać? Złoty Darek był, narobił zamieszania i się zmył do Legii. A dwadzieścia jeden milionów szlag trafił.

Kostecki nie podjął przekomarzanki. Wyjął notatnik i zaczął referować.

- Babicki urodził się w Łodzi. Karlicki w Łasku, zaś ksiądz pochodził z Pabianic. Poszedł do seminarium w 1946 roku. Karlicki wyjechał na studia do Warszawy, prawie zaraz po wyzwoleniu, gdy reaktywowano UW. Babicki wyjechał do Koszalina w 1950 roku. Mogli się znać. Wszyscy okupację spędzili w Łodzi.

Jasiński popatrzył na Kosteckiego jak na wariata.

- Potrzebował pan poświęcić cały urlop, by to ustalić? Ja zwróciłem na to uwagę już dawno.

- No i co?

- Panie poruczniku - Jasiński popatrzył z politowaniem - przed wojną Łódź liczyła czterysta tysięcy ludzi. Dodajmy Zgierz, Pabianice, Ksawerów... Nie mamy żadnych dowodów, że się znali. Różne środowiska, poglądy... Coś pan znalazł poza tym, że okupację przeżyli w Łodzi?

- Nie. Po prostu nie wykluczam wersji, że mamy do czynienia z psychopatycznym mordercą.

- Ja też jej nie wykluczam. Jednak na ten moment Barański siedzi w areszcie. Mam na niego bardzo mocne dowody. Ten ksiądz?

- Właśnie. Być może ksiądz był ofiarą przypadkową. Szaleniec zaczął się blisko grobu ofiary numer dwa i z nieznanego powodu zabił księdza. Szukałem jakichś związków między księdzem i profesorem. Nic nie znalazłem. Poza jednym. Buszując w archiwach, także tych warszawskich, ustaliłem, że cała trójka zamordowanych pracowała w różnych niemieckich firmach, na dosyć - jak na Łódź - eksponowanych stanowiskach. W Generalnej Guberni takie angaże były rzeczą normalną i nie budziły żadnych wątpliwości. Łódź jednak została wcielona do Rzeszy, tutaj panowały inne realia. Tymczasem Babicki pracował w niemieckiej restauracji jako kelner, Karlicki pracował w kancelarii browaru, zaś przyszły ksiądz Majerski był asystentem męskiego krawca. Powtarzam, jak na warunki Łodzi w latach 1939-1945 jest to zastanawiające.

- Dokumentacja jest kompletna?

- Nie jest. Ale co do ich zatrudnienia w roku 1944 nie ma wątpliwości.

- Ciekawe. Tylko jaki ma to związek z naszą sprawą?

- Kolejny element łączący ofiary, poza wiekiem.

- Panie poruczniku, doceniam pana zaangażowanie. Powiem teraz coś, o czym nie muszę mówić, ale panu powiem, bo zaczynam pana cenić. Ja też nie wyjechałem na urlop. Nigdy nie wyjeżdżam. Jak byłem uczniem, w wakacje pracowałem. Pierwszego malucha kupiłem na drugim roku studiów. Teraz mam Ladę. Nikt mi nic nie załatwił. Gdy byłem w ogólniaku, wakacje spędzałem, czyszcząc statki nazywane drobnicowcami. Jeżeli jadł pan kiedyś paprykarz, to prawdopodobieństwo, że zjedzone przez pana ryby przeszły przez moje ręce, jest bardzo duże. Jeżeli ryby w paprykarzu możemy nazwać rybami. Tej roboty nikt nie chciał wykonywać. A Gierek potrzebował paprykarza. Płacili super. Po to o tym mówię, by nie myślał pan, że nie potrafię docenić ciężkiej pracy. Otóż podczas swojego urlopu uważnie czytałem teczkę księdza Majerskiego. Było co czytać, bo gość zaczął kapować już w seminarium. Niech pan sobie wyobrazi, że jeden z jego oficerów prowadzących był zamieszany w aferę Zalew, inny w sprawę Żelazo. Niezłe, co? Wszyscy, którzy go prowadzili, są lub byli ludźmi Milewskiego...

- Wątek spisku, prowokacji...

- Sprawę bada Zofka, czyli wydział wewnętrzny. Jeżeli ten Barański okaże się niewinny, to nie będę mu niszczyć życia. Jestem prokuratorem, a nie mordercą! Na ten moment sprawa dalej jest rozwojowa. Nie wykluczam wątku z psychopatycznym mordercą. Jednak na razie jest to

najmniej prawdopodobny scenariusz. A wracając do pana ustaleń... Jaką ocenę pan miał w liceum z historii?

- Piątkę! - Kostecki niemal zawołał z dumą.

- To chyba u kiego nauczyciela. Pod koniec wojny, w 1944 roku, sytuacja Trzeciej Rzeszy była tak trudna, że hitlerowcy nieco odeszli od ideologicznych pryncypiów. Musieli zatrudniać Polaków tam, gdzie było to potrzebne. W pewnych kwestiach musieli poluzować. Pana praca w archiwum być może zainteresuje jakiegoś studenta historii, któremu nie chce się samodzielnie grzebać w starych dokumentach. Dla mnie, mówię to z żalem, jest bezwartościowa.

Po południu Kostecki maszerował wraz z kapitanem Banasikiem po okalających Łódź wzniesieniach. Doszli do miejsca bitwy z 1863 roku.

- Tutaj zginęła Maria Piotrowiczowa, była w ciąży - Banasik wskazał miejsce.

Kostecki napił się z bidonu oranżady, którą wcześniej zamroził w zamrażalniku.

- Jakaś ta nasza historia łódzka mało bitewna.

- Bitwa pod Dobrą zakończyła się totalną masakrą powstańców. Prawie nikt nie ocalał...

- Mogę pana prosić, by opowiedział mi pan o czasach okupacji? O pana znajomości z Babickim?

Banasik spojrzał na porucznika uważnie.

- Po co?

- Jestem na urlopie. Nie wyjechałem...

- Do PPR wstąpiłem na początku 1943 roku. To był okres ich wzmożonej działalności. Głównie sabotaż. Szans na otwartą walkę nie było praktycznie żadnych. Panował nieprawdopodobny terror. W połowie 1943 zaczęły się aresztowania. Najpierw jedna, potem kolejna wyspa... W roku 1944 ledwie wegetowaliśmy. Podobnie jak akowcy. Na tym tle nie było rozbieżności...

- A Babicki?

- Babickiego znałem jeszcze sprzed wojny. Nie miałem pojęcia, że miał lewicowe poglądy. Był kelnerem w różnych knajpach. Chwalił się, że z napiwkami wyciągał sto złotych na miesiąc. To było względnie dużo jak na warunki łódzkiej klasy robotniczej. Miał aparat fotograficzny i lubił robić zdjęcia. W czasie wojny był w wywiadzie GL. Moczar go bardzo cenił. Podobno załatwiał szereg cennych informacji. Mówię, że podobno, bo przecież wywiad to wywiad. Nawet nie dopytywałem. Potrafił też załatwiać

różne rarytasy: chleb, masło, czasem bimber. Jakieś mięso nawet, leki... Bardzo obrotny był, ale dobrze zakonspirowany. Nie wpadł. Po wojnie organizowaliśmy MO właściwie jeszcze przed wyzwoleniem. Niemcy już panikowali. Całe kwartały miasta były słabo lub wcale niekontrolowane. Po wojnie, korzystając z okupacyjnych układów, poszedł do szkoły kadr w Łodzi. To tam poznał Kiszczaka. Na tyle, na ile było to możliwe, trzymał się z dala od polityki. Za to odegrał ważną rolę w organizowaniu różnych archiwów. Z tego co wiem to przez jego ręce przechodziła dokumentacja podczas procesów różnych volksdeutchów oraz tych oprawców, których udało się złapać. Był w wywiadzie, miał szereg różnych informacji. Podobno przyczynił się do zapuszkowania paru hitlerowców lub ich pomagierów.

Zapadła cisza. Banasik głęboko zaczerpnął powietrza i mówił dalej:

- Mówiąc o walce w GL, rzadko się wspomina o tym, że po pierwsze trzeba było zdobyć coś do jedzenia. W Łodzi hitem była taka marmolada z brukwi. Jak gniła, a gniła często i szybko, to puchła. Teoretycznie na dłużej starczało. Przydziały kartkowe były tak marne, że trzeba było kraść. Sam nie wiem, czy codzienną kradzież należy traktować jako element walki. Powiem szczerze, często byłem tak głodny, że nie myślałem o Polsce czy socjalistycznych ideałach, ale po prostu o żarciu! Tak naprawdę na walkę mieliśmy bardzo mało czasu.

- Nie wie pan, gdzie Babicki pracował podczas okupacji?

- Nie wiem. Ale musiał mieć jakąś fajną fuchę. Załatwiał przepustki, dodatkowe kartki na jedzenie i tak dalej.

- Ładnie tu, poza miastem.

- Ładnie.

Kostecki wyczuł, że dowódca chce go o coś zapytać lub poprosić. Postanowił wyjść naprzeciw oczekiwaniom kapitana.

- Coś mam zrobić? - zadał krótkie pytanie.

- Szykujemy rodzaj konferencji poświęconej działalności milicji w walce z alkoholizmem. Byłeś długo na Sądecczyźnie. Na pewno spotkałeś się z procederem bimbrownictwa. To znaczy z działaniami operacyjnymi milicji wymierzonymi w bimbrowników.

Śmiech Kosteckiego był tak głośny, że spłoszył dwoje młodych, którzy już rozkładali koc w pobliżu miejsca bohaterskiej śmierci Marii Piotrowiczowej.

- Tam bimbrownia jest w każdej wsi. Ba, są wsie, gdzie w każdej chałupie pędzi się księżycówkę. Chociaż nieprecyzyjnie się wyraziłem. Nie robią bimbru w domach. Raczej w szałasach. Wysoko w górach. W Łącku wspaniałą sliwownicę robi taki jeden milicjant. Tam, na południu, nikt nie walczy z bimbrowniami. Tam się wszyscy znają. Występuje coś na kształt porozumienia ponad podziałami. Milicjanci z Sącza sprzedają towar kolegom z Tarnowa, Mielca, Krakowa. Rzeszów i Krosno mają swoje rewiry.

- Naprawdę?

Kostecki popatrzył na dowódcę. Banasik był człowiekiem prostolinijnym. Całkowicie nie pasował do realiów gnijącego socjalizmu.

- Szkoda - zasmucił się kapitan.

Później Kostecki spotkał się z kapralem Nitrzańskim w ulubionej Kaskadzie. Od akcji w Piotrkowie Trybunalskim Tadeusza stać było na to, by w lokalu położonym obok gmachu telewizji bywać codziennie. I właśnie prawie codzienne wizyty w owym przybytku oraz codzienne spotkania z Wiolą skutkowały tym, że zdobyte środki powoli się kończyły.

- Jest robota - powiedział na przywitanie Nitrzański.

- Gdzie?

- W Sieradzu. Pewna agentka ma problem z kilkoma łobuzami. Nie płacą za zakąski. Piją przyniesioną z domu wódkę i odstrasząją klientów.

- Ile?

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- Trochę mało.

- Nie zawsze trafia się taka fucha jak ta w Piotrkowie. Czasem trzeba podnieść z ziemi mniejsze pieniądze. Wchodzisz?

Kostecki pomyślał ze smutkiem, że czający się za rogiem wrzesień może być ostatnim upojnym miesiącem. Wiola bardzo była rada Tadeuszowi, ale konsekwentnie trzymała uczucia na wodzy. Za wszystkie noce pełne namiętności Tadeusz płacił. A Wiola się ceniła.

- Wchodzę.

- Jutro, w piątek. Godzina dwunasta w południe. Zajazd Sarenka. Facetów do uciszenia jest czterech. Po dwóch na łeb.

Tadeusz pomyślał, że ostatni dzień urlopu zapowiada się ciekawie. Do Sieradza pojechali osobno, korzystając z usług Polskich Kolei Państwowych. Tak jak poprzednio mieli niczym niewyróżniające się ubrania. Do zajazdu Sarenka również dotarli innymi drogami. Gdy spotkali się w lokalu, podejrzana czwórka mężczyzn już biesiadowała, pijąc wódkę

i grając w karty. Oprócz nich nikogo w restauracji nie było. Na znak kaprała ajentka, pani Katarzyna, wywiesiła kartkę z napisem: „Chwilowo nieczynne”. Potem poszło już gładko. Czwórka karciarzy wybełkotała, wypływając wybite zęby, że już nigdy nie odwiedzi zajazdu Sarenka. W drodze powrotnej Kostecki pomyślał, że kapral Nitrzański jest bardzo fajnym kolegą.

Rozdział 21

- O starym kumplu zapominasz! - Felicjan Jurga miał lekki żal do przyjaciela.

Siedzieli w mieszkaniu Tadeusza i pili piwo.

- Wiesz, śledztwo. Nawet na urlop nie wyjechałem.

- Ty to jednak głupi jesteś. Spalasz się w tej robocie i po co?

W odpowiedzi Tadeusz otworzył kolejne piwo z Grybowa.

- Słuchaj... - Jurga zawiesił głos.

- Słucham.

- Wszedłem w taki ciekawy układ gospodarczy. Przeniesienie do komendy stołecznej dało mi jednak szereg możliwości. Podczas jednej ze spraw poznałem takiego biznesmena z jednej z firm polonijnych. Śledztwo umorzono... Wtedy zakumplowałem się z tym gościem bliżej. Ma horyzonty i możliwości. Ma kontakty... tak sobie pogadaliśmy parę razy... Firma polonijna Czikenpol. Różne rzeczy robią, ale jak nazwa wskazuje, mają ambicje drobiarskie.

- W obecnych realiach rynkowych...

- No właśnie te realia wcale nie są takie złe, jak można by sądzić. Otóż jest luka w przepisach. Gdyby, zamiast z kur czy z indyków, robić mięso z przepiórek... Dogadani jesteśmy z władzami miasta... Mieliśmy tam różne wejścia... Władze Łodzi są gotowe na nasz projekt spojrzeć łaskawszym okiem, pod warunkiem że część produkcji pójdzie na rynek łódzki. Idea jest taka, by łódzkie włóknianki miały co do gara włożyć. Dogadaliśmy się.

- Ty, jako milicjant...

- Oj, Tadzium, Tadzium, jak dziecko myślisz. Mój udział w całym przedsięwzięciu jest tyleż ważny, co nie do końca oficjalny.

- Rozumiem.

- To dobrze, że rozumiesz, bo mam sprawę. Otóż tak jak już mówiłem, jesteśmy z miastem ugadani. Z ministerstwem też. Właściwie możemy ruszać. Jednak by ruszyć, musimy mieć lokal. Wiadomo, że produkcja musi być poza miastem. Mamy na oku okolice Brzezin. W Łodzi potrzebujemy lokalu do prowadzenia dokumentacji. Miasto dało nam taki budyneczek. Do

rozbiórki. Jednak żaden państwowy zakład nie chce się tego podjąć. Wiesz, jak to jest: plany, limity, BHP i tak dalej, i tak dalej. Słowem, chodzi o to, byś się może rozejrzył po Łodzi, wypytał znajomych. Może jest w Łodzi jakaś prywatna inicjatywa, która się tym zajmuje? Ściąganie ekipy z Warszawy to po pierwsze koszt, a po drugie czas! Taki jeden gość spod Grójca ma zaklepane terminy rozbiórek na dwa lata do przodu! Gdybyś kogoś znał, albo znalazł...

- A co ja z tego będę miał?

- A co byś chciał mieć? Usług matrymonialnych nie prowadzę.

- To piwo jest dobre. To z Grybowa.

- Za tydzień jadę do Łącka. Pyszną śliwownicę tam robią. Zwłaszcza taki jeden milicjant. To jest blisko Grybowa. Przywiozę transport.

- Stoi umowa. Jej realizację możemy zacząć od zaraz. Znam kogoś, kto zajmuje się rozbiórkami. Ale wiesz... Myślisz, że tylko prywatni spod Grójca mają terminy na dwa lata...?

- Dziesięć litrów tej śliwownicy z Łącka dorzucam.

- Niech będzie, moja strata...

Następnego dnia Kostecki poszedł do sauny.

Rozdział 22

Sierpień przyniósł kolejne upalne dni. Pan Stanisław Jodko, podobnie jak burzyciel spod Grójca, miał terminy zaklepane na następne dwa lata. Jednak dla Kosteckiego zrobił rozsadę w kalendarzu i znalazł czas, by podjąć się rozbiórki małego budynekczku, który jakimś cudem przetrwał budowę nowoczesnego osiedla za czasów Gomułki. Być może dlatego, że w roku 1945 budynek zajęła Armia Czerwona. Potem, do 1956 roku domkiem zarządzało UB, ale właściwie nic tam się nie działo. Budynek nie nadawał się ani na katownię, ani na stołówkę. Zresztą towarzysze radzieccy dom zostawili w stanie zdewastowanym. Po roku 1956 budynkiem praktycznie nikt się nie interesował. Nikt poza żułami, młodocianymi chuliganami, złomiarzami, a na koniec wandalami. Stan techniczny budynku był tak zły, że nie było mowy o remoncie. Rozbiórka wiązała się ze sporymi kosztami. Dlatego budynek stał i niszczał. Pewnie niszczałby dalej, gdyby nie to, że wypatrzyło je sokole oko Felicjana Jurgi. Wielce zaradnego milicjanta, który najpierw służył w Łodzi, zaś potem w stolicy. W połowie sierpnia do pracy przystąpiła ekipa pana Stanisława. Pan Jodko umówił się z Kosteckim, że jeżeli znajdą skarb, to podzielą się po połowie.

Była sobota wieczór, Kostecki wrócił ze stadionu położonego na ulicy Armii Czerwonej pod numerem osiemdziesiąt. Szykował się do obejrzenia kina nocnego, gdy ktoś zapukał cicho do drzwi. Tadeusz niechętnie wstał z łóżka i poszedł otworzyć. W progu stanął pan Stanisław Jodko. Minę miał, jakby znalazł pocisk V2. Gdy wszedł, natychmiast obejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie stoi na schodach i go nie obserwuje. Usiadł i poprosił o wodę. Natychmiast wypił całą szklanekę. Nerwowo patrzył na Tadeusza. Tadek na moment bardzo się przestraszył, pomyślał, że podczas rozbiórki miał miejsce wypadek. Nieco się uspokoił, gdy Jodko zaczął mówić:

- Niestety nie znaleźliśmy skarbu. Nikt nie ukrył złota ani nawet srebra. Za to znaleźliśmy to! - Położył na stoliku dosyć dużą kopertę. Były w niej zdjęcia. - To chyba z czasów okupacji - powiedział.

Kostecki rzucił okiem na fotografie. Po chwili wyrzygał wypite piwo z Grybowa. Po kilkunastu sekundach męczarni z trzewi wyleciał obiad.

- Mnie też zemdziło - powiedział Jodko.

- To było w tym domku?

- Gdy burzyliśmy, znaleźliśmy coś na kształt zamurowanej komnatki. Niewielka. Dwa metry na trzy. Gdy się bliżej przyjrzałem cegłom, doszedłem do wniosku, że to pomieszczenie powstało później niż cały budynek. W tej skrytce znaleźliśmy aparat fotograficzny marki Kodak, model z 1937 roku, i tę stertę zdjęć.

Kostecki popatrzył z obrzydzeniem na fotografie. Nie miał już czym rzygać. Łatwiej mu było wyostrzyć wzrok. Na zdjęciach widnieli różni mężczyźni w wieku wszelakim. Niektórzy pojawiali się na kilku zdjęciach. Inni byli tylko na jednym lub dwóch. Owi mężczyźni byli przeważnie nadzy lub bardzo skąpo ubrani. Obok nich na fotografiach były dzieci, głównie chłopcy. Jeden z chłopców, często fotografowany, miał wielkie, smutne oczy. Kostecki znał te oczy.

- Panie, co to za obrzydlistwo?

- Komuś pan o tym mówił?

- Nie. Robotnicy, jak tylko zauważyli, że jest jakaś zamurowana skrytka, to natychmiast mnie zawołali. Wszedłem, licząc na jakiś bonus, a tu to! Schowałem. Zabezpieczyłem i wieczorem przyjechałem do pana. Wolałem do domu niż w poniedziałek na Lutomierską.

- Dobrze pan zrobił.

Mimo późnej pory Kostecki wykręcił numer do szpitala na ulicy Aleksandrowskiej. Gdy usłyszał, że na dyżurze jest Bukowczyk, zbiegł do poloneza i ruszył. Po kwadransie był już w szpitalu. Bukowczyk ze zdumieniem oglądał zdjęcia.

- To on. Nie mam wątpliwości. To jest Mieczysław. Innych dzieci nie kojarzę. Może tylko on przeżył to piekło?

- Piekło w piekle. Chciał pan powiedzieć.

- Najniższy krąg piekła.

- Myśli pan, że mordował katów?

- Albo katów, albo tych, którzy organizowali cały proceder. Jeżeli nasza hipoteza jest zasadna, tłumaczyłoby to, dlaczego jego ostatni kryzys miał miejsce zaraz po zamordowaniu tego księdza. Po prostu dopełnił zemsty. Nie miał już po co żyć.

- Wspominał pan, że wychodził na przepustki.

- Tak. Wszystko jest w papierach. Łatwo można ustalić, czy morderstwa miały miejsce, gdy był na przepustce.

- Zdaje się, że sprawa jest wyjaśniona.
- Jeżeli zabójstwa nie będą się powtarzać...
- Nie wiem, czy te zdjęcia przekonają prokuratora...
- Ma pan pole do popisu. Jeżeli udowodni pan, że zabójca był ofiarą gangu, który dostarczał „towar” pedofilom, to prokurator będzie musiał tego rzeźbierza wypuścić i przyznać panu rację.

Rozdział 23

Jesień przyniosła słotę. Prokurator przywitał Kosteckiego w charakterystyczny dla siebie sposób:

- Gratulacje! Wspaniały wynik! Galatasaray Istanbu! Niedługo będzie przegrywać z drużynami z Cypru lub z Malty! Wraga nie pomóg! Smolarek schrzanił karnego! Pięknie, pięknie.

Kostecki wytrzymał perlisty śmiech prokuratora.

- Mam dla pana komplet dowodów w sprawie potrójnego zabójstwa: Pułkownika Babickiego, profesora Karlickiego oraz księdza Majerskiego. Niech mnie pan wysłucha w spokoju. Wszystko ustaliłem. Ustalenia są poparte dowodami. Sytuacja wyglądała tak: wszyscy trzej, czyli Babicki, Karlicki i Majerski, poznali się w czasie wojny. Nie wiemy kiedy i gdzie. To nie jest zresztą ważne. Ważne jest to, że wpadli na pomysł, jak poprawić sobie standard życia w Litzmannstadt. Założyli gang służący zaspokajaniu najbardziej odrażających praktyk seksualnych - gang dla pedofilów. Dzieci dostarczali prosto z obozu na ulicy Przemysłowej. Robili zdjęcia zboczeńcom i ich szantażowali. Genialny pomysł. Mieli w rękę grube niemieckie ryby. Dzięki pomocy pracowników muzeum na Radogoszczu udało mi się ustalić personalia niektórych szantażowanych. Gang był nietykalny. Schadzki, jeżeli mogę tak powiedzieć, miały miejsce w pewnym domku. Była tam skrytka. Jeden z nich, najpewniej Babicki, robił zdjęcia. Wszystko wskazuje na to, że był mózgiem działalności. Być może dlatego zginął pierwszy. Gdy postawiono przed sądem Eugenię Pol, zastanowiło mnie, zresztą nie tylko mnie, dlaczego Pol nie została postawiona przed sądem wraz z Sydonią Bayer? Jakim cudem jej personalia nie zostały połączone z oprawczynią? Dzisiaj wiem. Mający niemal nieograniczony wgląd do akt sprawy Babicki postarał się o to, by jej nazwisko nie ujrzało światła dziennego. Chroniąc ją, chronił siebie. Gdy w latach siedemdziesiątych wreszcie doszło do procesu Eugenii Pol, sytuacja w jakimś stopniu się powtórzyła. Załatwił jej najlepszych adwokatów, którzy świetnie wywiązali się z zadania. Uratowali Pol od stryczka. W zamian ona milczała jak grób w sprawie Babickiego. Pułkownik po wyjeździe do Koszalina nie mógł zlikwidować skrytki. W tym domu najpierw urzędowali Rosjanie, potem UB, następnie, gdy Babicki mieszkał

już od dawna w Koszalinie – żule i wandale. Nie mógł zniszczyć dowodów swojego procederu. Nie bez przyczyny wyjechał do Koszalina. Zwróciłem na to uwagę. Babicki skończył elitarną partyjną szkołę. Mógł zrobić wielką karierę w partii. Nie skorzystał z oferty. Zaszły się w Koszalinie, w drogówce. Tak samo zrobił Karlicki. Zastanowiło mnie, po co Karlicki wyjeżdżał do zniszczonej Warszawy, by tam studiować prawo? Przecież w Łodzi powstał uniwersytet, miasto nie było zniszczone. Majerski też się ukrył. Kościół to Kościół. Solidna firma, swojaka zawsze obroni. Cała trójka oprawców zrobiła wszystko, by zniknąć z Łodzi. Bywali tu okazjonalnie. Tak rzadko, jak mogli. Dopiero ostatnimi czasy Babicki wrócił na stałe. Majerski tak pokierował swoją karierą duchowną, by zawsze być w cieniu. Zachowanie oprawców jest zrozumiałe. Bali się, że zostaną rozpoznani. Tymczasem żyli ludzie, którzy byli ofiarami ich haniebnego gangu. Część ofiar jeszcze żyje. Przecież byli więźniami obozu jako dzieci. Będzie to dla nich traumą, ale można ich wykorzystać jako świadków. Zabójca nie miał skończonych pięćdziesięciu lat. W podobnym wieku są inni wykorzystywani seksualnie w latach 1943-1944.

- Mówi pan to takim tonem, jakby miał pan dowody.

W odpowiedzi Kostecki położył na biurku prokuratora zdjęcia.

- Zabójcą okazał się Mieczysław Słowikowski. Był pacjentem doktora Bukowczyka w szpitalu na Aleksandrowskiej. W dniach gdy dokonywano zabójstw, był na szpitalnych przepustkach. Są na to kwity. Motywu się pan domyśla. Zabójca-mściciel kilka dni po wykonaniu ostatniego wyroku popełnił samobójstwo. Nie było następnych zabójstw i już nie będzie.

Prokurator z mieszaniną ciekawości i obrzydzenia oglądał zdjęcia. Odezwał się Kostecki:

- Uważam, że mózgiem gangu był Babicki. Na zdjęciach, w pozach lubieżnych, zostali uchwyceni i Karlicki, i Majerski. Tylko Babickiego nie ma. Pewnie robił zdjęcia kompanom, by mieć na nich haki. Miał głowę na karku. W końcu został podpułkownikiem MO.

- No to Barańskiego możemy wypuścić...

- Panie prokuratorze...

- Słucham.

- Może...

Jasiński spojrzał w oczy porucznika.

- Moja żona jest w szpitalu. Dziewiąty miesiąc. Właściwie w każdej chwili może rodzić – powiedział.

- To może chociaż symbolicznie. Podwiozę pana. Gdzie żona leży?
- W szpitalu Kopernika.
- Tam obok jest restauracja Rajdowa. Walniemy po lufie.
- To jedźmy.

Jasiński spakował zdjęcia. Chciał je w domu na spokojnie przeanalizować i przeczytać raport Kosteckiego. Przed restauracją nie było tłumów. Kostecki zaparkował. Na sali też nie było ścisłu. Restauracja znajdowała się na typowo robotniczym osiedlu Kurak. Jedynymi biesiadnikami byli cinkciarze. Nieopodal lokalu, na ulicy Astronautów, wznosił się sklep Pewexu z wódką, piwem oraz słodyczami. Nie siadali do stolika. Wypili przy barze. Popili pepsy.

- Paweł
- Tadek.

Jak to przy bruderschafcie bywa, dali sobie po kumpelskim całusie w policzek.

- Jak się dziecko urodzi, to zapraszam na pępkowe - powiedział Paweł.
- Jakby co, to ja mam dojście...
- Bardzo dobrze, mnie nie wypada mieć dojścia.

Zaśmiali się obaj. Po chwili Tadek wsiadł do poloneza. Zaś Jasiński poszedł do szpitala, który wznosił się po drugiej stronie ulicy Gagarina. Gdy wychodził ze szpitala, było już ciemno. Chciał skorzystać z taksówki, ale postój świecił pustkami. Jasiński przypomniał sobie, że taryfiarzy widział pod Rajdową. Poszedł wzdłuż alei drzewek, które okalały chodnik. Do postoju miał około trzystu metrów. Dojrzał poloneza i dużego fiata. Przyśpieszył, by go nikt nie ubiegł. Nagle poczuł ogromny ból w czaszce. Gdy się ocknął, trzymały go jakieś żelazne ręce. Ktoś wsadził mu do gardła jakąś rurę. Poczul smak wódki. Musiał przełykać. Gdy przełykał, czyjaś ręka wbiła mu w żyłę igłę. Potem zapadła ciemność.

Rozdział 24

- Jest bardzo osłabiony - powiedziała pielęgniarka.

- Tylko na chwilę. Prowadzimy razem śledztwo.

- Na chwilę. Poważne obrażenia głowy.

Kostecki wszedł do szpitalnej sali. Jasiński był podłączony pod różne kroplówki. Głowę miał owiniętą bandażem.

- Gdzie zdjęcia? - zapytał Kostecki.

- Zabrali. Ci co mnie napadli.

- Kurwa.

- Też tak sądzę.

- Dobrze, że żyjesz.

- Chociaż tyle.

Rozdział 25

- Będziesz pisać? - zapytał bez większej nadziei w głosie.

Był już ranek. Palili papierosy. Kostecki wyjrzał przez okno. Retkińskie blokowisko budziło się do życia. Ulicami sunęły samochody. Czerwone tramwaje szurały ciężko po szynach. Dzieci z kolorowymi tornistrami pędziły do szkoły. Czerwone światełka odbłaskowe złowrogo połyskiwały na myśl o klasówkach.

- Nie będę - odpowiedziała.

Nie zdziwił się. Nie obruszył. Nawet nie zasmucił. Znał odpowiedź. Zapytał, by przełamać ciszę. Podeszła do niego i delikatnie się przytuliła.

- Dobrze mi było z tobą.

Nie odważemnił czułości. Wiola poszła zaparzyć kawy. Gdy czajnik gwizdnął karnego, powiedziała:

- Od jutra załatwiam formalności. Paszport już mam. Wizę też. Prom do Ystad mam za cztery dni. Z Ystad jadę do Sztokholmu.

- Dobrze ukryj pieniądze.

- Nie jestem głupia. Pieniądze pójdą pocztą dyplomatyczną.

- Były klient z ambasady?

- Dobry klient. Obiecał załatwić sprawy meldunkowe i inne formalności. Pomoże znaleźć pracę. Zarobiłam dość, żeby starczyło na początek. Mam już klepnięte dwuletnie volvo. Dam sobie radę. Na dziecko dostanę jakiś dodatek. Znajdę męża. Nie będę musiała się kurwić.

W milczeniu dopili kawę. Odniosła kubek do zlewu. Ubrała się. Wzięła torebkę. Smutny uśmiech zastąpił słowa pożegnania. Gdy trzasnęły drzwi, Kostecki podszedł do lodówki i wyciągnął butelkę wódki. Chciał ją wypić duszkiem. Po wychyleniu szklanki wybrał na tarczy numer do komendy. Chciał powiedzieć, że jest chory. Jednak głos w słuchawce natychmiast go uzdrowił. Biegając do samochodu, przegryzał miętusy. Na Lutomińskiej znalazł się w ciągu kwadransa. Natychmiast zameldował się u Banasika. Dowódca przywitał go z bardzo ponurą miną.

- Zgarnęli Nitrzańskiego - powiedział metalicznym głosem.

- Kto? - Kostecki poczuł, że wypita wódka zaczyna działać.

- Ludzie z Zofki. Z wydziału wewnętrznego. Pytali też o ciebie.

- O mnie?

- Tak. Nieoficjalnie wiem, że mieli na naszego kaprała parę ładnych haków. Pobicia. Wymuszenia. Jakies niejasne powiązania ze światem przestępczym. Kolegowałeś się z nim.

- Trochę.

- Tak też im powiedziałem, że trochę. Poręczyłem za ciebie.

Kostecki nie wiedział, co powiedzieć. Mówił za to Banasik.

- Mój stary znajomy jest w zarządzie. Dał się przekonać. Na razie. Mam nadzieję, że nie będą węszyć. Ale wiesz... Oni bardzo zwracają uwagę na życie poza służbą. Czy milicjant daje przykład. Angażuje się społecznie...

- Co mam zrobić?

- Chodzi o ten wykład w sprawie walki milicji z bimbrownictwem. Organizuję taką sesję. Będą prelegenci z różnych stron Polski. Ten facet z Nowego Sącza ciągle jest chory.

- Rozumiem.

- Sesję mamy za tydzień. Zdązysz się przygotować.

Zakończenie

Październik 1985. Warszawa.

- Jak tam nasz prokurator? - zapytał wysoki rangą oficer SB.
- Żyje. Żona urodziła. Dziewczynka - odpowiedział esbek niższy rangą.
- Brawo. Materiały zabezpieczone?
- Tak jest. Dokument z izby wytrzeźwień. Miał pięć promili. Kwit ze szpitala. W krwi znaleziono polską heroinę, kompot. Zeznania cinkciarzy z Rajdowej, że chlał wodę litrami. Wszystko jest na cacy.
- Dobrze.
- Co z nim zrobimy? Wypierdolimy do Suwałk?
- Ochujales? Po co nam w Suwałkach? To bardzo dobry prokurator. Sumienny, ambitny, świetnie przygotowany merytorycznie. Wyślemy go do...
- Do?
- A gdzie mamy poważne aktywa? Gdzie nam jest potrzebny?
- Warszawę mamy już obstawioną.
- Skórvisin. Bandytex. Har-ach. Canciash. AfereX. Curvex oraz inne firmy polonijne.
- Poznań.
- Tak. Poznań. Milicjantów mamy tam raczej pewnych, ale prokuratora nie mamy. To teraz już mamy. Z takimi hakami robi, czego zażądamy. Umorzy albo przyłoży. W zależności od naszych potrzeb.
- Dziecko. Żona.
- Sami się podkładają.
- A te zdjęcia?
- Co zdjęcia? Zdjęcia już pracują. Wiesz, jakie oczy zrobił Glemp, gdy je zobaczył? A jak mu powiedziałem, że na tych zdjęciach jest ksiądz Majerski, to myślałem, że dostanie apopleksji.
- Wszystko poszło tak jak miało pójść. Czesław się uspokoił, że tych dwóch nie załatwili ludzie Milewskiego.
- Czesław jest czujny.

- Dlatego od tylu lat jest w szpicy. Powinniśmy się od niego uczyć. Ta afera z Janoszami kosztowała go mnóstwo nerwów.

- Z Popiełuszką też.

- Właśnie. Ale teraz wszystko wiadomo. Babickiego i tego pedała z KOR-u zabił ten pederasta Barański. Ksiądz Majerski zginął w niewyjaśnionych okolicznościach przy grobie zadeklarowanego homoseksualisty. Sprawcy nie wykryto. Są domniemania, że zabił go jakiś przedstawiciel świata pederastów. Glomp prosił, by nie nagłaśniać sprawy. Nie mogłem mu odmówić. Oficjalnie nasza akcja jest spowodowana ochroną obywateli przed epidemią tej choroby. Puma? Umbro? Adidas?

- AIDS.

- Właśnie. Wiedziałem, że jakoś tak. Świetny pomysł. Prawda? To ja go podsunąłem Czesławowi. Oficjalnie będziemy pedków wzywać na MO, przesłuchiwać, rejestrować, sporządzać protokoły. Aż się dziwię, że wcześniej nikt na to nie wpadł. Zobacz, jak tego starego pedała zajebał ten Barański, to opozycja nawet się nie zająknęła. Gdyby Karlicki był normalny, zaraz pojawiłyby się insynuacje, domniemania. Wolna Europa powiedziała by że został zamordowany wybitny prawnik związany z opozycją. Głos Ameryki by dodał, że nieznanymi sprawcy... Londyn by podchwycił, że kolejny mord polityczny. A tak? Cisza. Spokój. W żadnej z tych podziemnych gadzinówek nikt nic nie napisał! Cicho sza. Bo pedała... Kuroniada i Michnikowszczyzna nie jest głupia. Nie będą się afiszować.

- Nikt z tej skurwiałej opozycji by się z tym nie afiszował.

- Dlatego robimy naszą akcję. Bo pedały są wszędzie: w nurcie Wałęsy, u Morawieckiego, w KPN, u Antka Macierewicza pewnie też są. Są, kurwa, wszędzie. Nawet u krasnoludków we Wrocławiu. Pięć do dziesięciu procent populacji. Rachunek prawdopodobieństwa. W PZPR też pewnie są. W SD i ZSL również. Proza życia. Dlatego jak Czesław odda władzę, a będzie musiał oddać - bo ten burdel się rozpięrdala - to będzie miał kwity na każde środowisko. Komu by władzy nie oddał, będzie miał solidne ubezpieczenie. Wiesz, taki TW, jak się do władzy dorwie, to będzie mówił, że go zmusiliśmy, szantażowaliśmy, że prowadził grę z nami. W przypadku dowodów, że go w dupę ruchają, nie będzie fikał. Nikt go nie rozgrzeszy. Bo pedała to pedała. Nikt z opozycji nie będzie zainteresowany, by chwalić się pedałstwem. Szczególnie gdy będą zabiegać o poparcie Kościoła.

- A jak nazwiemy naszą akcję?

Starszy stopniem esbek się zamyślił. W pokoju zapadła cisza. Z głośnika sączył się głos Jima Morrisona.

- To jakiś Chopin?

- Rzeczywiście, brzmi jak Chopin. Ale Chopin chyba nie śpiewał.

Gdy Morrison przestał śpiewać, a Manzarek z Kriegerem grać, usłyszeli głos Wojciecha Manna.

- Wysłuchali państwo utworu grupy The Doors - Hyacinth house.

- Już, kurwa, wiem, damy akcji kryptonim Hiacynt.

- Pasuje do pedałów. Ale prokuratora to jakoś formalnie trzeba będzie...

Starszy stopniem esbek zrobił skwaszoną minę.

- Czesław się tym zajmie. Przecież ja nie będę z kauzyperdami gadał.

W końcu spotyka się z jakimś tam ministrem na posiedzeniu rządu, czy tam w KC.

Epilog

Czerwiec 1989. Poznań.

- To co? Koniec. Zapaliliśmy znicze na grobie kapitana Fontowicza. Morderca złapany.

Jasiński popatrzył na blask znicza.

- Myślisz, że teraz wreszcie będzie normalnie?

- Oczywiście. Komuna przegrała. Prędzej czy później Solidarność przejmie władzę. Rozliczą zbrodniarzy, wyjaśnią wszystkie ciemne sprawy... Będzie wolność, demokracja, sprawiedliwość.

- Myślisz, że mi uwierzą?

- Oczywiście! Przecież będę świadkiem! Te zdjęcia widział Bukowczyk, ten mój znajomy, co wyburzał kamienice. Wszystko będzie ok. Udowodnimy, że wtedy cię napadli i wrobili. Może jakieś dokumenty się zachowały? Wyjaśnimy, zostaniesz oczyszczony. Może wrócisz do Łodzi? Albo do Warszawy? Chyba będą potrzebować uczciwych prokuratorów? Nowa Polska nastanie...